



Dina Sagandykova — studentka Technikum Naftowego w Alma-Ata

WIESŁAW BEK

ODWAGA I STANOWCZOŚĆ W OBRONIE POKOJU

Nie, nie ma w tym określe-
niu ani odrobiny przesady:
świat jednomyślnie ocenił
radziecką inicjatywę, toru-
jącą drogę do pokoju w
rejonie Morza Karaibskiego
(ale i poza nim). Że nie był
to bowiem konflikt od nas
odległy, choć rozgrywający
się na zachodniej półkuli —
miejliśmy możliwość przeko-
nać się sami. We współczes-
nym świecie nie ma wyda-
rzeń odizolowanych, stopień
komplikacji zagadnień mię-
dzynarodowych jest tak wy-
soki, że długość i szerokość
geograficzna nie odgrywają
tu żadnej roli. Jednakowo
rozwojem wypadków nie-
pokoił się Europejczycy,
Arabowie, Amerykanie...
Dlatego też decyzja o de-
montażu rakiet na Kubie,
powzięta przez ZSRR po za-
pewnieniu przez prezydenta
Kennedy'ego, że ustrojowi
Kuby nie będzie grozić żad-
ne niebezpieczeństwo — przy-
jęta została na całym świe-

cie jako przejaw „nie tylko
doktrynalnej, ale i praktycz-
nej woli obrony pokoju”.
By nie być gołosłownym —
zacytujmy niektóre spośród
bardzo licznych opinii poli-
tyków i komentatorów, szcze-
gólnie wypowiedziane przez
tych, których trudno posą-
dzić o sympatie do ZSRR.
SPAAK — min. spraw za-
granicznych Belgii:
— Należy podziękować i
pogratulować Chruszczow-
owi za podjęte przez niego
posunięcia.
GERHARDSEN — premier
Norwegii:
— Narody świata pragne-
łyby podziękować... za pra-
wie niewiarygodnie szczęśli-
we rozwiązanie kryzysu ku-
bańskiego...
DIEFENBAKER —premier
Kanady:
— Świat odetchnie z ulgą
w wyniku decyzji, podjętej
przez Chruszczowa.
„NEW YORK HERALD

TRIBUNE” (Stany Zjedno-
czone):
— W dramatycznej godzi-
nie wystąpił Chruszczow w
charakterze zbawcy poko-
ju...
„DAILY EXPRESS” (W.
Brytanii):
— Chruszczow miał zdro-
wy rozsadek i odwagę... Jest
to okazja nie do egzaltacji,
ale do pocucia ulgi.
„PARIS-JOUR” (Francja):
— Nikt nie spodziewał się
tak wiele i aż tak szybko.
To jest nieomal zbyt pięk-
ne, aby mogło być praw-
dziwe... Chruszczow jest w
oczach wszystkich rzeczni-
kiem umiaru.
W dziesiątkach, setkach
komentarzy to samo: zbaw-
ca pokoju, rzecznik umiaru,
odwaga, męstwo w obronie
pokoju...

Dalszy ciąg
na str. 2

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. ŁÓDŹ, 11. XI. 62 r.
Nr 45 (245) Cena 1 zł

ZYGMUNT GROSBART-ROMANOWSKI

SPOTKANIA Z POETAMI

I. WIELBICIELE
MAJAKOWSKIEGO

W r. 1926 w cichym zaułku
Hendrikowskim (teraz zaułek
Majakowskiego) zamieszkał
Włodzimierz Majakowski. Po
śmierci poety, w domu u-
tworzone zostało muzeum je-
go imienia.

Wchodzimy na drugie pię-
tro. Kręte drewniane schody,
ciężki przedpokój... Na wie-
żaku długie palto i futrzana
kurtka, obok laska, wyżej
ogromny kapelusz. Wszystko
to należało do poety. A da-
lej —

POKÓJ -PIERWSZY

Umeblowanie proste i
skromne: stół, czarna skórza-
ny tapczan, kredens. Wzdłuż
jednej ze ścian, pod samym
niemalże sufitem, szeroka
półka, na niej dzieła Marksa,
Engelsa, Lenina i Plechano-
wa. Literatury pięknej nie-

wiele — Puszkina, Dostojew-
skiego, Blok (Majakowski korzy-
stał z biblioteki swych przy-
jaciół Brików, którzy miesza-
li w tym samym domu w
dwóch sąsiednich pokojach).
— Za to czasopism było bar-
dzo dużo — informuje nas
przewodnik, niewysoki brunet
z gorącymi czarnymi o-
czyma, na które od razu
zwróciły uwagę nasze panie.
— Majakowski prenumerował
dwadzieścia kilka tytułów.
Co dzień przy śniadaniu prze-
glądał cały plik gazet. „To
jest dla mnie konieczne, tak
samo, jak mycie się” — ma-
wiał. „Świat w papierku” —
tak nazywał gazetę.

Na półce leżały najróżnorod-
niejsze przedmioty: maszyna
do pisania, czajnik elek-

Dalszy ciąg
na str. 6



Majakowski w 1929 r.

Felieton
Sceptyka

Jak
ZGRYŻĆ

ten
ORZECH?

A dministracje do-
mów sporządzi-
ły w tym roku
wykazy mies-
kań, w których na-
szczęście i nieszczęście
dla ich lokatorów wy-
stępuje tzw. powierzch-
nia ponadnormatywna.
Przypuszczam, że nie
jest to ewidencja ideal-
na, tylko wielce przy-
bliżona. Kwaterunek,
zajęty dotąd olbrzymią
pracą nad ustalaniem
szczegółowych planów
przydziałów mieszkań
z nowego budowni-
ctwa, nie zdołał jesz-
cze w te wykazy wej-
rzeć. Wejrzałem tedy
w nie na własną rękę
i stwierdziłem, że ma-
my do czynienia ze zja-
wiskiem ilościowo i ja-
kościowo ogromnym.
Obliczyłem mianowicie,
że na Bałutach jest
tych grubo ponad nor-
my luźnych mieszkań
230, na Górnjej 222, na
Polesiu 871, w Śród-
mieściu 2142, na Wi-
dzwie 129, co daje su-
mę 3.549 i metrów kwa-
dratowych pod dachem
kilkanaście tysięcy.

Niezależnie od tej
wielkości jest to cięż-
ki orzech do zgryzienia
dla wykonawców pu-
blicznej gospodarki lo-
kalnej o tyle, że nie
jesteśmy zainteresowa-
ni w tworzeniu „kolcho-
zów” mieszkaniowych,
że w końcu mamy na
celu strukturę mieszk-
kań jednorodzinną, a
tymczasem jak najbar-
dziej respektujemy pra-
wo naturalnego dobo-
ru współmieszkańców,
co znajduje wyraz w
aktualnie obowiązują-
cych przepisach. Poza
tym trzeba mieć na
względzie, że owa po-
wierzchnia ponadnor-
matywna istnieje nie
zawsze na skutek za-
biegów ludzi kochają-
cych przestrzeń, ale w
wyniku wprowadzania
norm zagęszczenia ex
post i częstokroć z po-
wodu naturalnego ru-
chu ludności. Ktoś, kto
w pierwszych latach
powojennych zajął cze-
ropokojowe mieszkanie
z rodziną, powiedzmy
trzy, cztero-osobową
znalazł się z czasem w
bardzo kłopotliwej sy-
tuacji. Powiedzmy, że
była to rodzina z dora-
stającymi dziećmi. W
końcu dzieci dorosły,
założyły swoje własne
stać i dochrapały się
własnego kąta. Starzy
musieli się więc „doga-
ścić”. Dogęszczenie
przeważnie szło nie po
ich myśli, to znaczy do-
kwatrowały się do
nich przeważnie osoby
niesamotne. Koegzysten-
cja dwu lub kilku na-
wet rodzin w wielopo-
kojowym mieszkaniu,
ale z jedną kuchnią,
jedną łazienką i jed-
nym wspólnym wej-
ściem rządziła te same
prawa co koegzysten-
cja w dziedzinie ustro-
jów, a jednej i drugiej
towarzyszy, jak wia-
domo, wojna nerwów.
Niejedną więc kolchoz-
nik mieszkaniowy cier-
pi dzisiaj na rozstrój
psychiczny i względy

Dalszy ciąg
na str. 12



PLAC DEKABRYSTÓW W LENINGRADZIE.

Dalszy ciąg ze str. 1

Przez całe stulecia dręczy ludzkość to samo pytanie: czy to kolejne zarzewie wojny zostanie ugaszone? Jeszcze niedawno najczęściej odpowiadano: nie! Dziś w podobnej sytuacji znaczna część ludzkości odpowiada: tak. Skąd ta pewność? Co zmieniło się w świecie, że powoli będzie można eliminować ze słownika napawający trwogą wyraz wojna?

Ruch robotniczy jeszcze na wiele lat przed Rewolucją Październikową deklarował walkę przeciwko wojnie. W 1868 roku III Kongres Międzynarodówki oświadczył: „narody mogą już teraz zmniejszyć ilość wojen, przeciwstawiając się tym, którzy je przygotowują i wypowiadają”. Myśl o ochronie pokoju przewijała się przez kongresy w Brukseli, Zurychu, Stuttgarcie. Nie było jednak siły, która mogłaby zagrozić wojnie drogę. Marzenia klasy robotniczej, która zawsze najbardziej odczuwała skutki zbrojnych konfliktów, pozostawały w sferze nieziszczalnej. Prywata klas panujących decydowała wciąż jeszcze o wojnie i pokoju.

Dopiero strzały z „Aurory” miały zapoczątkować nowy okres, wskazać realne warunki, w których po raz pierwszy w historii — wojnie nie tylko będzie można powiedzieć: „nie!”, ale i przeciwstawić jej politykę, siłę gospodarczą i militarną.

Pierwszy dekret władzy radzieckiej mówił o pokoju, wzywał do zaniechania rzeki i aneksji, dawał narodom prawo do samookreślenia. Od tej chwili u podstaw polityki państwa radzieckiego miała znaleźć się słuszna zasada pokojowego współistnienia.

Niestety, siły pierwszego na świecie Kraju Rad były zbyt wątłe w latach trzydziestych naszego stulecia, wtedy, gdy rodził się i ogarniał niektóre kraje faszyzm,

by zapobiec wybuchowi II wojny światowej. Ale nikt nie może przecież zaprzeczyć wielkiej inicjatywy radzieckiej z tamtych lat, która zmierzała do objęcia europejskich krajów systemem bezpieczeństwa zbiorowego.

Zgola inna sytuacja ukształtowała się po drugiej wojnie światowej. Powstał obóz socjalistyczny, obejmujący 25,8 proc. kuli ziemskiej, w którym żyje 33,7

siłami wojny doprowadził do tego, że jeszcze przed całkowitym zwycięstwem socjalizmu na ziemi, przy utrzymaniu się kapitalizmu w części świata, powstanie realna możliwość wyeliminowania wojny z życia społeczeństw.

Na pewno osiągnięcie tego celu nie jest zadaniem łatwym, na pewno jednak realnym. Po raz już któryś bowiem z rzędu w ciągu ostatnich lat, nawet wówczas,

lu komentatorów dopatruje się rychłej możliwości obniżenia napięcia poniżej poziomu sprężyny wydarzeń kubańskich. Alternatywa: pokojowe współistnienie lub konflikt jest teraz znacznie wyraźniejsza.

Wypadki ostatniego okresu postawiły na porządku dnia kilka węzłowych problemów, przede wszystkim jednak podkreśliły konieczność przyspieszenia rozmów w sprawie rozbrojenia i zakazu doświadczeń z bronią jądrową, uczyniły aktualną likwidację choćby części baz na obcych terytoriach, ustabilizowania stosunków między krajami — członkami NATO, a państwami Układu Warszawskiego. Przewijająca się w listach Chruszczowa i Kennedy'ego opinia o konieczności szerszych negocjacji ma — jak się wydaje — realne szanse powodzenia.

Przykład Związku Radzieckiego — podkreślała jedna z gazet zachodnich, który „potrafi dokonać taktycznego odwrotu, odrzucając na bok względy złe pojętego prestiżu tam, gdzie wymagają tego interesy pokoju” — zobowiązuje i stronę przeciwną do przejawienia dobrej woli. „Po tej konfrontacji stanowisk dwóch wielkich mocarstw świata — pisze „Financial Times” — czyż nie może być obecnie powoli otwarta droga do osiągnięcia rozsądnego, pokojowego urzędzenia spraw między Wschodem i Zachodem? Postępowanie Chruszczowa oferuje zarodek nadziei”.

Tak więc w dramatycznych dniach wydarzeń kubańskich Związek Radziecki dał kolejną poglądową lekcję obrony pokoju, tak przekonującą, że nie mogli jej się oprzeć i niektórzy rzecznicy antykomunizmu. W przeddzień 45 rocznicy Rewolucji Październikowej, która proklamowała pokój jako naczelną zasadę polityki radzieckiej, ZSRR raz jeszcze udowodnił, że teoria i praktyka nie chodzą różnymi drogami...

WIESŁAW BEK

ODWAGA i STANOWCZOŚĆ W OBRONIE POKOJU

proc. ludności świata, ukształtowała się rozległa strefa krajów neutralnych. W starym świecie pozostało tylko 38 proc. ludności globu.

Ta zmiana na mapie politycznej świata spowodowała sytuację, w której rozwój wydarzeń kształtują nie tylko kraje kapitalistyczne. Dlatego też w Programie KPZR można było stwierdzić:

„Wspólnym wysiłkiem potężnego obozu socjalistycznego, milijonów pokój państw niesocjalistycznych, międzynarodowej klasy robotniczej i wszystkich sił broniących sprawy pokoju można zapobiec wojnie światowej. Wzrastająca przewaga sił socjalizmu nad siłami imperializmu, sił pokoju nad

kiedy siły wojny wstępowały aktywnie na arenę międzynarodową (np. Suez), udało się obronić pokój. W decydujących okresach dokonywania wyboru między polityką rozpalania ognisk i zimnej wojny, a pokojowego współistnienia — zwyciężała ostatnia. Choćby nie odniosła jeszcze pełnego zwycięstwa: stan bezwojenny nie jest bowiem równoznaczny z trwałym usunięciem z arsenału środków rozstrzygnięcia spornych problemów — siły militarne.

* * *

Może brzmi to paradoksalnie, ale w ostatniej inicjatywie radzieckiej rozkładającej napięcie w strefie Morza Karańskiego — wie-



Konrad Laszewski, świetny aktor i wybitny reżyser, nie żyje. I tym, którzy Go znali i tym, którzy oglądali Go w Łodzi na scenach Teatru im. Jaracza i Teatru Nowego, trudno będzie pogodzić się z tą przedwczesną śmiercią. Ale śmierć artysty nigdy nie jest całkowita, nie jest odejściem bez słowa, pożegnaniem, zatrzaśnięciem drzwi. Obok dorobku Konrada Laszewskiego, niewątpliwie znaczącego w dziejach łódzkiej sceny, nie przejdzie z pewnością obojętnie historia teatru. Ale, co może ważniejsze, po artyście pozostają nie tylko wspomnienia i nie tylko dorobek wielu lat pracy. Pozostają także nie spełnione zamiary, projekty, role zadawane przez usta, słowa, których nie zdążył wypowiedzieć. Sztuka, która jest funkcją pamięci i oczekiwania, wymaga kontynuacji i wierności temu, co nie zostało zrealizowane, Droga, którą szedł Konrad Laszewski, prowadzi dalej i jest otwarta dla innych.

EWA OSTROWSKA

WYDŁUBANE OCZY LALKI

...przechodzą dzieci i można je oszukiwać dokąd się nie nauczą różnych słów można je oszukiwać dokąd się bawią w piasku”.

Dorośli nie wiedzą o swoich dzieciach. Pani się usmiecha? Dziwnie brzmi takie stwierdzenie w ustach czternastoletniej smarkatej — Ale się wymydra... Zależy się, że tak pani sobie teraz pomyślała. Jednak na samym początku — jakżeśmy się spotkali, powiedziała pani, że pragnie ze mną rozmawiać jak równy z równym. Czyli, cho dziło pani o to, że ja będę w tej rozmowie za do rosta? — Więc, jeżeli tak mamy rozmawiać ze sobą — to nie powinna się pani śmiać z tego, co mówię, bo ja się przecież wcale nie śmieję.

Dorośli nie wiedzą o swoich dzieciach. Przepraszam, czy pani ma dziecko? Tak? — No, a co mogłaby pani opowiedzieć mi o swoim dziecku? Właśnie, tego się spodziewałam: że córka ka jest śliczna, ma na imię Ania, jest zbyt wysoka jak na swoje pięć lat, nie lubi zup jarzynowych. Pani też mało wie o swoim dziecku, Wymydrzam się, co?

Żeby już skończyć z tym wymydrzaniem, to ja lepiej pani coś ciekawego opowiem. Wie pani, często myślałam, jak to jest z tym tzw. „dzieciństwem”? Do-

kąd jest się dzieckiem, a kiedy się nim przestaje być? Może przestaje się nim być, odkąd zaczyna się pamięta? Bo najpierw dziecko przypomina zwierzątko, które każdy lubi pogłaskać. Po tem robi się coraz większe, ale ono samo jeszcze o tym nie wie, i domaga się wciąż tego głaskania. Tymczasem, oni nie mają już tyle czasu: „Idź do swoich zabawek, nie przeszkadzaj”.

— To pamiętam, tak do mnie mówiono. Później dotarło następne: „Nie jesteś już aż tak małym dzieckiem, masz cukierka, daj mi spódk”. Dziecko nie rozumie tego wszystkiego, odchodzi w kąt i beczy. Czasami warczy. Nawet bardzo często warczy — nie ma pa zurków, drapać nie umie, może tylko warczeć. I nagle — to zupełnie nowe dla niego — zastanawia się: dlaczego raptem stałam się za ciężka, żeby mnie brać na kolana? — Może właśnie pamiętanie zaczyna się od tego momentu? W każdym razie, wydaje mi się, że jedno z drugim, jakoś się łączą, i może właśnie od tego zasty nawiania i pamiętania razem — traci się dzieciństwo, chociaż w dalszym ciągu jest się dzieckiem?

Boję się, że to brzmi sztu cznie, że znowu się wymydrzam, ale ja to pani postaram się wytłumaczyć. Kiedyś, że złości, wydłubałam lalce oczy. To była ładna lalka, z prawdziwymi włosami, zamykała oczy, i miała wielki, niebieski kapelusz ze wstążkami, jak elegancka dama. Dostałam ją na imię niny. Cieszyłam się, pewno. Wynosiłam ją na podwórko, i dzieci mi zazdrościły. I

któregoś dnia wściekłam się, mama siedziała przy nowym, niedawno urodzonym dziecku, gapiała się w nie, chociaż sobie spokojnie spało, a mnie odpędziła — Kupiłam ci lalkę, czego jeszcze chcesz? — Więc wydłubałam lalce oczy. Dostałam lanie, poszłam do kąta, a mama powiedziała do mnie, że jestem okrutna, bo to lalkę bolało.

Teraz sobie myślę, że dorośli też wydłubują swoim

dzieciom oczy, jak ja lalce. Widzi pani, jakie mam „chude” włosy? A marzyłam o tym, żeby mieć gęste, w błyszczących puklach, aż do ziemi. To się pani wyda je bardzo głupie, nie? Mnie teraz też się tak wydaje, ale wtedy było nieomal kwestią życia i śmierci. Zna lazłam w domu taką pocztówkę: na białym koniu siedziała okryta płaszczem włoś kobieta. I ona mi się wydała cudownie piękna. Teraz wiem, że to była ohydna pocztówka, ale wówczas tak właśnie myślałam. Chciałam stać się cudownie piękną, albo chociaż mieć takie włosy, jak tamta pani. Nawet modliłam się o to: spraw Boże, żebym miała takie cudownie piękne włosy, długie aż do ziemi, mama będzie się mną zajmować. Śniły mi się te włosy co noc. Codziennie rano sięgałam ręką do głowy — może mi już urosły warkoczki? Całymi dniami bawiłam się w cudownie piękną panią. Któregoś dnia przyczepiłam sobie do moich myślich ogonków długie aż do ziemi wstążki. I nagle wydało mi się, że to wcale nie są wstążki, tylko najprawdziwsze, kręcone,

błyszczące włosy. I wtedy we szła do pokoju mama. Krzyknęła — Ale głupia dziewczyna! I ona ma iść za rok do szkoły! Przecież ona jest nienormalna!

W ten sposób wiem, że moje pamiętanie zaczęło się, kiedy miałam sześć lat.

I jeszcze może o wydłu-

banych oczach. To było święto matki. Dwudziestego szóstego maja. Chodziłam do czwartej klasy. Mój brat wciąż jeszcze był glaskanym zwierzątkiem. Mnie już zupełnie nie glaskano, bo byłam za duża. Na święto matki postanowiłam zrobić dla mamy prezent — ładną laurkę, ładne kwiaty — tylko coś szcze gołnego, żeby zrozumiiała, jak bardzo ją kocham. W smoki z bajek już nie wierzyłam, jakoś się samemu dochodzi do przekonania, że bajki są bzdury. Ale myślę, że chyba musiałam nawet trochę żałować, że to wszystko bujda, no, bo jakbym dokonała bohaterstwa, czy nu, jak w bajce, to może by mnie mama pogłaskała! Okazuje się, że to pięknie nie trudno wymyślić coś niezwykłego. Bo niby co? Przejsz się po dachu jak Ania ze Wzgórza? Dopiero dostałabym po skórzel! — Mówię pani uczciwie, ja wiele rzeczy wtedy zrozumiiałam. Na przykład, że niezwykłości tak na co dzień nie ma, i ludzie wcale ich nie szukają, ani nie potrzebują. W końcu, gdy wyobraziłam sobie zawiadła, wymyśliłam, że napiszę dla mamy bajkę. Oczywiście, to miała być taka bajka, jakiej nikt nigdy dotąd nie napisał. Cudowna! Kupiłam stuartkowy brulion — z tym

brulionem była osobna historia, oszukiwałam na resztach od zakupów po pięćdziesiąt groszy, po dwadzieścia, a raz nawet zabrałam całą złotówkę, aż mama mnie przylapała. Powiedziałam, że na cukierki. Pani już wie, co się potem działo. Ale to nieważne, grunt, że stuartkowy brulion z bezdrzewnego papieru, kupiłam. Brulion był w kratkę i miał czarną, sztywną okładkę. Napisałam na pierwszej stronie dużymi literami: BAJKA DLA MAMY. AUTOR — Uczennica klasy czwartej. — Ponumerowałam wszystkie kartki, postanowiłam żadnej nie wyrwać, nie wiedziałam, czy mam rysować marginesy, czy nie — bo w szkole, w normalnych zeszytach, to marginesy jest konieczny, na cztery centymetry — po namyśle postanowiłam, że jednak z marginesem. Chciałam koniecznie napisać bajkę na całe sto stron, a to bardzo dużo, nie? Wypracowania wtedy pisałam najwyżej na dwie strony. No i tak. W życiu tyle nie oberwałam po karku za wytłukiwanie naczyń, ile przy tym pisaniu bajki. Bo ja nie — tylko cały czas wymyślałam bajkę. Nawet, kiedy sprzątałam, czy zmywałam naczynia. Pod koniec pisałam rozciąglą pismem, bo już nie wiedziałam, co jeszcze można wymyślić. Takie ten marginesy przydały mi się. Ale sto stron wyszło. Napisałam KONIEC, wyrysowałam kwiatek i byłam bardzo szczęśliwa. No i dwudziestego szóstego dałam mamie. Pamiętam, że nogi mi się trzęsły i płakać mi się chciało. Mama obej-

rzała, trochę zdziwiona, zeszty, pocałowała mnie w czoło, uściśnęła, poklepała — no i rozbeczałam się, rzecz jasna widać — ciągle jeszcze byłam małym zwierzątkiem.

Mam ten zeszyt do dziś. Bajka jest śmieszna, głupia, i błędów ortograficznych sporo znalazłam. Prawda, pani nie wie, bo i skąd? Ja ten zeszyt wyciągnęłam ze śmieci. Bo widzi pani, już wówczas miałam swoje obowiązki: sprzątałam, o bierałam jarzyny, biegałam do sklepu, no i wynosiłam kubek ze śmieciami. Lubilałam chodzić do sklepu, albo wynosić kubek ze śmieciami. Mogłam trochę czasu zarwać i pobawić się choć parę minut na podwórku. Taka okazja się zdarzała przy tych śmieciach. Więc wyrzuciłam je z kubka, — to było wszystko w tydzień po moim wielkim szczęściu — i widzę czarną, sztywną okładkę. Tak, to była moja

Dalszy ciąg na str. 7

SPROSTOWANIE

W numerze 44 „Odgłosów” wkra dł się błąd w recenzji z filmu „O dwóch takich co ukradli księżyc”. Autor recenzji przeprasza reż. Chęcińskiego właściwego autora filmu „Historia żółtej cizemki” za przykre przeoczenie jego nazwiska. A. N.

"FILMOS"

i

JEGO PARTNERZY

Zjemy w czasach, kiedy film fabularny nie potrzebuje już reklamy — jest uznana, wysoko ceniona i popularna rozrywka, a często także wielka sztuka. Nie doczekal się jeszcze tytułu czasów film oświatowy, który jednak uparcie zdobywa należne sobie miejsce i to nie tylko w sferach miłośników konsumpcji sztuki filmowej — kinach, lecz wszędzie tam, gdzie znajduje się grupa ludzi, którzy chcą ten film zobaczyć, to m. in. w szkole i w domu. Odpowiedzi na to pytanie pozwolą dane uzyskane od dyrektora Łódzkiej Centrali Kształcenia Filmowego, pana Nowakowskiego.

"Filmos" posiada w swojej filmotece około 2,150 tytułów filmowych, z czego 380, to filmy ściśle powiązane ze szkolnymi programami nauczania. Co roku zas przybywa około 500 nowych tytułów. Zbiór, jak wiadomo, dość imponujący. Niestety, nie wykorzystuje się zasobów "Filmosu", tak jak żyłoby się w innych krajach, gdzie dostrzegłby ogromną rolę oddziaływania filmu, jako nowoczesnego środka szerzenia kultury oraz wiedzy ogólnej i zawodowej. Wiek filmu i telewizji dokonał tego, że ludzie wyszli z kręgu niepełnego poznawania świata, że znaleźli się w świecie obrazów. Doszło do tego, że człowiek poznając świat rzeczywisty, dokonuje jego konfrontacji z wczesniej zdobytą, własną w kinie, wiedzą. O obraz, a głównie obraz ruchomy — film stał się środkiem, dzięki któremu można zerwać z mało efektywnym w tak powszechnie jeszcze stosowanym werbalnym nauczaniu. Film może również być stosowany, jako niesłychanie atrakcyjna forma ilustracji problemów wszystkich dziedzin nauki i kultury.

Zdając sobie sprawę z kierunków działania filmu oświatowego, łatwo wytypować adresy odbiorców filmów krótkiego metrażu. Do miłośników pierwszego partnera pracy "Filmosu" pretendować będą przede wszystkim szkoły.

Licząca 1,655,362 uczniów, którzy w roku szkolnym 1961-62 obejrzeli na 49,900 lekcyjach filmy oświatowe, mówią bardzo wiele, ale nie wszystko. Dane te pochodzą przecież jedynie z suchych statystyk instytucji, której celem jest jedynie rozpowszechnienie i uprzyjemnienie zainteresowanym placówkom tego ogromu wiedzy, jaką niosą filmy. Do szkoły zaś należy efektywne wykorzystanie tej możliwości, która niesie nowoczesna nauka, technika i sztuka. Nie można natomiast, uznać istnienia w chwili obecnej sytuacji za zadowalającą.

Gdy bierzemy do ręki zestawienia filmów wytypowanych przez Ministerstwo Oświaty do wykorzystania w szkole o ścisłym powiązaniu z programem, widzimy od razu ogromną przewagę filmów z zakresu fizyki, biologii i geografii. Inne przedmioty, a zwłaszcza humanistyczne, nie mają tu wielkich szans. Warto zwrócić również uwagę na fakt, że program nauczania szkół podstawowych jest bardziej faworyzowany niż szkoły średnich.

Taki stan rzeczy wydaje się dużym nieporozumieniem, gdyż katalog "Filmosu" świadczy o posiadaniu znacznej ilości filmów, z zakresu np. kultury i sztuki. A ile tematów, o które proszą się programy nauczania, nie jest w produkcji filmowej uwzględnionych. A przecież tematykę filmów przeznaczonych dla szkół ustala z Wytycznic Filmów Oświatowych właśnie Ministerstwo Oświaty.

Szkoły głównie wykorzystują filmy wytypowane przez Ministerstwo Oświaty i nakazem urzędowym do nich przysłane. Do bardzo sporadycznych wypadków należy taki, specjalnego zamawiania przez szkoły filmowe spoza tego zakresu. Składa się na to bardzo wiele przyczyn, spośród których na pewno uwzględnić trzeba słabą orientację nauczycieli, w możliwościach i braku podejścia do filmu jako nowoczesnego środka nauczania. Niesprawiedliwoscią byłoby obciążać winą jedynie nauczycieli. Ten rezerwa w stosunku do filmu, wynika na pewno również z innych bardzo obiektywnych powodów. Zarówno filmu oświatowego, jak i fabularnego, nie uwzględnia się w programach nauczania, nie uwzględnia się czasu, który można by im poświęcić. Nie można bowiem uznać filmowej wizyty pracowników "Filmosu" w szkole za załatwienie sprawy wykorzystania filmu w procesie nauczania.

Co da np. uczniom obejrzenie filmu z astronomii, jeśli w czasie projekcji siedzi z nimi na sali nauczyciel polonista czy historyk, bo im właśnie zabrano lekcję, na rzecz filmu astronomicznego? W tym samym czasie, nauczyciel fizyki lub matematyki, ma lekcję powiedzieć w klasie ósmiej, lub w ogóle nie ma go w szkole. Film nie zostaje wtedy wykorzystany, a czas przeznaczony na inne przedmioty skrócony. Zamiany nauczycieli w praktyce nie są rzeczą prostą.

Podstawowa filmoteka szkół na lub międzyszkolna, wydzielona sala projekcyjna, to na pewno marzenie przyszłości (oby niedalekiej). Projektor filmowy jednak przestał być nieosiągalnym marzeniem. Rok 1965 ma go zgodzić z uchwałą Ministerstwa Oświaty, przynieść każdej szkole w Polsce. Pozostanie zatem sprawa przystosowania, co jest rzeczą bardzo prostą, wszystkich izb klasowych do możliwości zorganizowania projekcji filmowej. Pozostanie sprawa uwzględnienia w programie nauczania pozycji filmowych i to zarówno filmu oświatowego, jak i fabularnego.

Nauczyciel musi, oprócz dobrej woli, mieć do dyspozycji rzetelny informator, dający orientację w możliwościach tematyki popularnonaukowej. Najnowsze katalogi "Filmosu" mogą tu wiele pomóc.

Sprawa umiejętności i obsługi projektora filmowego, przestaje być problemem. "Filmos" przeszkolił już 600 nauczycieli, a corocznie urządza kilka kursów obsługi tych aparatów. W roku ubiegłym, kurs taki ukończyło również 50 uczniów — eksperymen- t wypadł zupełnie pomyślnie.

"Filmos" jako instytucja obsługująca przede wszystkim szkoły, powinien posiadać również zestaw filmów fabularnych, wychodzących poza poziom "Piłki z wyspy skarbów". Posiadane w chwili obecnej tytuły, nie wyczerpują potrzeb. Wytypowane przez znawców problemy, wybitne pozycje filmowe korespondują z literaturą na zasadzie podobieństw gatunkowych i problemowych, czy jako jej adaptacje, powinny jako 16 mm kopie znaleźć się pod pieczą "Filmosu".

Szkola i film, to problem na pewno najbardziej palący. Trzeba jednak wspomnieć o innych formach pracy "Filmosu". Najbardziej stała współpraca z Uniwersytetem, Akademią Medyczną, NPT i Klubami Techniki i Racjonalizacji. A przecież te instytucje można śmiało typować na stałych odbiorców filmu oświatowego różnych dziedzin. W ubiegłym roku "Filmos" i TWP podjęli akcję stałych projekcji tematycznych zestawów filmowych. Uczestniczyli w nich fachowcy dających dziedzin, wprowadzając pu-



Barbara Kraftówna w filmie „Złoto”

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„ZŁOTO”

Twórca znakomitych „Pożegnania” i w ubiegłym roku wyróżnionego „Rozstania” — reż. Wojciech Has miał słuszną ambicję stworzenia filmowej wizji naszej współczesności, ukazania bohaterów na tle wielkiej budowy gigan- tycznej kopalni odkrywkowej. Główny bohater — kierowca, młody chłopak — czeka przed odpowiedzialnością karną za rzekomy wypadek. Nie może dopasować się do środowiska, jest nieufny. Znajduje wreszcie miejsce w społeczności wielkiej budowy. A więc właściwie jest wszyst- ko, co mogłoby pozmniejszyć świadcząc, że reżyser zrealizował swoje zamierzenia. Niestety, po obejrzeniu „ZŁOTA” według scenariusza Bohdana Czeskiego trzeba mimo za- sług i sympatii dla scenarzysty stwierdzić, że konflikt dwu postaw — szlachetnego inżyniera i lekkomyślnego chłopaka nie wypadł przekon- ująco. Mesjanistyczny filo- zofujący intelektualista — inżynier, przez cały czas filmu usiłuje nawracać histo- rycznego, rezonującego chło- paka. Takie ustawienie syl- wetek psychologicznych boha-

terów jest chyba podstawo- wym błędem scenariusza no- wego filmu Hasa. Oczywiście są również postacie dru- goplanowe, na tle których o- baj bohaterowie wykazują całą swoją niezwykłość i wy- abstrahowanie. A przecież twórcą filmu zapewne cho- dziło o przekazanie rzeczy- wistej, realnej ewolucji chło- paka, którego wchłonie i na- prawli romantyzm i rozmach wielkiego budownictwa.

Zawinił więc poważnie sce- narzysta, który nie ustrzegł się literackiego, nieraz prze- sadnie poetyzującego gadania, wydumanej atmosfery stwa- rzającej w efekcie wrażenie zwykłej sztuczności. Słabości scenariusza ujawniają się nie tylko w ustawieniu postaci czolowych bohaterów, ale także w dialogach tak za- wile filozoficznych, że po prostu mało zrozumiałych. Nie wolno jednak wszystkie- go zwać na barki scenarzysty. Również reżyserowi Ha- sowi w trakcie realizacji filmu zabrakło chyba po pro- stu umiaru. To co zachwyca- ło w „Pożegnaniach” — ów „Wspólny pokój” — ów „styl kameralnego dramatu

psychologicznego” zastosowany w przypadku scenariusza Czeskiego, całkowicie zawiódł. Po prostu przesłonił rzeczy- wistość, zubożył materiał obserwacyjny, realizm co- dziennej życia.

Te minusy scenariusza i koncepcji reżyserskiej, dra- maturgicznej, rzecz oczywista znalazły wyraźne odbicie w grze aktorów, odtwórców głównych ról. To co robi w „Złocie” popularny Władysław Kowalski, dalekie jest od poziomu sztuki aktorskiej zaprezentowanego chociażby w „Rozstaniu”. Trudno rów- nież zgodzić się z egzaltowa- ną kreacją Krzysztofa Cham- ca w roli inżyniera. W po- zostalych rolach nieźle za- grali swoje epizody Barbara Kraftówna i Aleksander Fogel. Inni a wśród nich El- żbieta Czyżewska, Adam Pa- wlikowski, Tadeusz Fijewski, odtworzyli swe małe role ra- czej poprawnie. Interesujące zdjęcia Stefana Matyjaszkie- wicza ukazują fascynującą scenę Turoszowa. Szkoda jednak, że tylko wkład arty- styczny operatora i kilku ak- torów w drugoplanowych rolach są jasnymi punktami „Złota”.

EKRA- NIK

○ Sięgnięcie znakomitego włoskiego reżysera Luchino Visconti — Enriprando Visconti przedstawił na Festiwalu w Wenecji swój pierwszy film „Mediolanska opowieść”. Treść filmu są perypetie życiowe, pierwsza miłość, pierwsze roz- czarowania młodziutkiej miesz- kanki Mediolanu. W głównej roli wystąpiła 19-letnia aktorka francuska Daniele Gaubert. Film Viscontiego nr 2 wzbudził zainteresowanie krytyki ze względu na niebanalny i oryginalny sposób ujęcia tematu.

○ Wszystkich ludzi jako ta- ko związanych ze sprawami fil- mu pasjonuje nowe, wielkie dzieło „maga ekranu” Federica Felliniego o prowizorycznym tytule „8 i pół”. Ostatnio Fel- lini oznajmił dziennikarzom, iż zamierza dać swemu filmowi tytuł „Labirynt” — najbardziej odpowiadający treści i struktu- rze tego dzieła. Bohaterem fil- mu jest czterdziestoletni filmo- wiec, który nie potrafi sobie znaleźć miejsca w życiu, czło- wiek trawiony „chorobą wieku” — nudą, zniechęceniem, apatią. Po kolejnych rozczarowaniach poznaje on czarującą, czystą dziewczynę. Ale ta zbyt szybko odzyskuje jego miłość, i akceptuje plany wspólnego ży- cia. To nie podoba się naszemu bohaterowi. Słowem jesz- cze jeden zawód. Tak wygląda w wielkim skrócie treść fil- mu, którego akcja rozgrywa się w modnej miejscowości kapi- liskowej, w bliżej nieokreśl- onym czasie, bowiem kostiumy bohaterów mieszczą się w gra- nicach mody lat 1925-1932. W gruncie rzeczy wiele się o tym filmie mówi, ale jak to zwykle z Fellinim bywa nikt nie wie. Nawet scenarzyści (Pinelli, Rondi, Flaiano i Tullio) nie bardzo orientują się w kształ- cie realizowanego filmu. Wido- mo tylko, że będzie to najbar- dziej autobiograficzny film w twórczości reżysera, który zaw- sze w istocie mówi tylko o sobie, swoich obsesjach, o swoim osobistym i niepowtarzalnym świecie. Oskarżony o chęć pro- wokowania swymi filmami pu- bliczności, Fellini stwierdza: „Nie lubię bez powodu niepo- koić ludzi. Lubię, pokazywać to, co kryje się pod utartymi pozorami. Nazywam to demi- styfikacją. Nie sądzę aby moż- na było stworzyć jakieś wartości budujące je na kłamstwie. Tylko, że w obliczu prawdy niektórzy zarzyskują zębami, no i nie podoba się ona pewnym kołom politycznym.” W filmie Felliniego grają: Marcello Ma- strolanni jako główny boha- ter, Anouk Aimé jako jego zo- na (ruda i w okularach), Made- line Lebeau jako wamp w stylu klasycznym (jedną z bogda- nek bohatera), Sandra Milo i Claudia Cardinale jako uosobie- nie czaru i niewinności.

○ Robert Parrish realizuje w Paryżu film oparty na powieści znanego pisarza Irwina Shawa „Po francusku”. Treść filmu jest romans młodej Amerykan- ki (Jean Seberg z diamentami i włosami), która przyjechała do Paryża w pogoni za wielką mi- łością z uroczym mieszkan- cem tego miasta (Philippe Forquet — amant „nowej fałi”).

○ Za przykładem Marilyn Monroe i Liz Taylor także i Bri- gitte Bardot zamierza przejść na judaizm. Brigitte, podobnie jak i jej dwie poprzedniczki czyni to by przypodobać się swemu, aktualnemu już od przeszło ro- ku ukochanemu, młodemu akto- rowi Sami Frey, którego już niebawem ujrzymy na naszych ekranach w filmie „Prawda”. Współpraca przy tym właśnie filmie stała się początkiem wiel- kiej miłości. Sami i Brigitte, która spotkała się na ogół z de- zaprobata opinii publicznej, Mi- łość okazała, się jednak silnie- sza. BB zrezygnowała z ka- rierą narodowej gwiazdy i wy- brła własne, prywatne szczę- ście.

MIESZANKA FILMOWA

ja filmy o charakterze in- struktażowym.

Znaczące gorzej, układa się współpraca z Uniwersytetem, Akademią Medyczną, NPT i Klubami Techniki i Racjo- nalizacji. A przecież te insty- tucje można śmiało typować na stałych odbiorców filmu o- światowego różnych dziedzin.

W ubiegłym roku „Filmos” i TWP podjęli akcję stałych projekcji tematycznych zesta- wów filmowych. Uczestniczy- li w nich fachowcy dających dziedzin, wprowadzając pu-

bliczność w zaradzenia przedstawione w filmach i odpowiadające na głosy w dyskusji. Ta ciekawa forma popularyzacji filmów oświa- towych, nie docekalą się w nowym sezonie kontynuacji. Dyrekcja „Filmosu” gwar- antuje jednak podcięcie tej akcji, gdy tylko ukończony zostanie remont sali projekcyjnej.

Wydaje mi się jednak, że ten typ upowszechniania fil- mu oświatowego musi docze- kać się większej reklamy. Taką reklamą był już np.:

Przegląd Filmów Naukowych zorganizowany w kinie Stu- dyum Gdynia.

W działalności „Filmosu” na uwagę zasługują akcje, które wykraczają poza krag normalnych zainteresowa- nych instytucji.

„Filmos” traktując szko- łą jako swego głównego part- nersa, jej poświęca najwięcej uwagi.

Toteż, zorganizowanie we- społ z ZNP kursu filmowego dla nauczycieli, należało do najbardziej udanych przed-

siewzięć ubiegłego roku. Ten rok szkolny ma przynieść utworzenie nauczycielskiego DKF, który działać będzie w ścisłej współpracy z „Filme- sem” i w jego sali projek- cji.

odpust

str.
3

W więziennych murach poza kratą
Młoda dziewczyna siedziała
I goniąc okiem za przechodniami
Smutną piosenkę śpiewała...

— Hanka była hersztem ciemnej zgrai
Od niej też rozkazów było moc
Z władzą czy cywilem radę sobie daje
Wabi ich do siebie w ciemną noc...

JERZY WILMAŃSKI

OTWARTE DRZWI

1.

O to balast więziennej „romantyki” z jakim przychodzi młodzi przestępcy do Schroniska dla Nieletnich w Wieluniu. Ponury gmach z małymi zakratowanymi oknami robi przynębiające wrażenie... Nie dziwnego. Do niedawna było to auten-tyczne więzienie. Potem budynek przeznaczono na Schronisko dla Nieletnich, ale w gruncie rzeczy atmosfera, warunki i rygor więzienny — pozostały. W roku 1958 „wybuchł bunt”. Młodzi przestępcy wyważali drzwi, śpiewali. Kto wie może właśnie o Hance co „wabi władzę w ciemną noc”, może inne „prymitywne piosenki przekazane im w spadku przez więzienną tradycję. Czasem przez ojców lub starszych braci.

Dziś nikt nie zaśpiewałby tutaj więziennych piosenek. Aż śmieszne — wyjść można swobodnie za bramę w każdej chwili. Uciec można nie tylko z pracy, ale i z kina czy z wycieczki. Nikt nie chce być śmieszny — nikt nie śpiewa smutnie o więziennych murach. Co to za mury, które sforsować można zawsze otwartą bramą? Zakurzone zeszły z piosenkami leży w szafie dyrektora p. Stanisława Witka. Nie jest dziś potrzebny.

2.

Tak więc w 1958 roku zrozumiano, że trudna, przestępcza lub ze środowisk przestępczych pochodząca młodzież nie ma żadnych szans resocjalizacji w atmosferze więziennej. Nie zdążyło egzaminu nastawienie na izolację młodych wykończonych ludzi.

Wieluński zakład spełnia bowiem dość specyficzną rolę. Pełni mianowicie funkcję podobną do więzienia śledczego. Nie wszyscy zatem jego wychowankowie trafiają później do domów poprawczych. Te sprawy rozstrzyga już sąd i sytuacja kształtuje się w ten sposób, że w zakładach zamkniętych pozostaje około 50 procent przebywających w schronisku. Pozostali wracają do domów. Trzeba było zatem, mając choćby tych drugich na uwadze, stworzyć takie warunki, aby psychika kilkunastoletnich chłopców nie została skażona na całe życie wspomnieniem „kibla”, klucza i atmosfery więzienia.

Dziś, po paru już latach eksperymentu można sądzić, że próba się powiodła.

został przez współkolegów za „dużego kozaka”. O czym to świadczy? O tym, że chłopcom brak chyba zajęć mogących zaspokoić naturalną w tym wieku żądzę przygody, chęć wykazania sprytu, siły...

Wiedziało o tym kierownictwo i zorganizowało... drużynę harcerską. No nie! Tak się to przecież nie nazywa. Znamy drużyny „Wilków”, „Żubrów” itp. Ale drużyna „Al Caponów” byłaby lekką przesadą. Nie ma więc zastępu — są grupy, nie ma mundurów, li-lijek, krzyży — ale są wszystkie metody gry i zajęcia zupełnie jak w normalnej harcerskiej drużynie. Organizuje się wycieczki, biwaki... To wszystko oczywiście są formy wyróżnienia. Można rzecz prosta przy wyjątkowej głupocie i uporze przesiedzieć pół roku w schronisku i z żadnej z tych form nie korzystać. Ale można też korzystać z wszystkich. Decyzja pozostaje w rękach wychowanka. Już sam fakt pozostawienia jej chłopcom jest na pewno mądrym posunięciem.



Zresztą zakład nie cofa się przed żadną nagrodą. Niedawno wychowanek zakładu Zbyszek A. rozpoczął naukę w szkole podstawowej nr 1 w Wieluniu. Codziennie rano opuszcza Schronisko 14-letni chłopiec i, z teczką w ręku kierując krokami do normalnej, otwartej szkoły. Na terenie zakładu jest co prawda szkoła, ale... świadectwo ukończenia siedmiu klas opatrzone pieczęcią „Schronisko dla Nieletnich” nie budziłoby pewno entuzjazmu wśród ewentualnych dyrektorów szkół czy pracodawców młodego wychowanka. Jest dowodem dużej mądrości i dużego taktu pedagogicznego decyzja dyrektora Stanisława Witka zezwalająca na tego rodzaju wyróżnienia. Podobno już i inni starają się na nie zasłużyć, i wieluńska szkoła nr 1 przyjmie niebawem więcej nowych, niecodziennych uczniów, których nawiasem mówiąc stawiać będzie z pewnością za wzór tak, jak dziś stawia Zbyszek A.

4.

Trzynastoletni Kazik był nieszczęśliwym dzieckiem. Niekształtna budowa czaszki narażała go od dawna na kpiny szkolnych kolegów. Szczególnie jeden znechęcał się nad nim ze specjalną pasją. W końcu doszło do tragedii. Doprowadzony do ostateczności Kazik uderzył prześladowcę kijem. Nieszczęściem trafiał w głowę. Na drugi dzień mały dręczyciel zmarł.

Kazik trafił do Schroniska. Tragedię przeżywał bardzo ciężko, doszło nawet do próby samobójstwa. Po wnikliwej, paromiesięcznej obserwacji Stanisław Witek doszedł do wniosku, że wyrok skazujący załamałby chłopca zupełnie, pogłębiłby jego kompleksy, zwichniałby życie ostatecznie. Sąd przychylił się do opinii pedagoga i Kazik został uniewinniony.

A teraz drugi przykład. Siedemnastoletni Andrzej P. wpadł na pomysł łatwego zdobywania pieniędzy. „Skombinował” mniś habit i ruszył „w Polskę” Zbierał datki na budowę klasztoru. Nietrudno mu to szło — ludzie nie podejrzewali, że pod brązowym uborem zakonnika kryje się oszust. W końcu wpadł. Andrzej P. tak że trafił do schroniska w Wieluniu.

Celowo podaję dwa krańcowe przykłady. Chodzi bowiem o to, że wśród wychowanków znajdują się i tacy — jak Kazik, przypadkowi, mimowolni przestępcy, których przypadek czy okoliczności doprowadziły na drogę występku. Ale są równie i inni — wyrachowani, często mimo młodego wieku cyniczni przestępcy. Trzeba wiele doświadczenia, taktu i cierpliwości, aby umieć wydać odpowiednią sprawiedliwą ocenę. Myślę, że tych atrybutów dobrego pedagoga nie brak kierownikowi owej specyficznej placówki, której na imię Schronisko dla Nieletnich.

5.

Na wstępie cytowałem fragmenty znalezionych w zakurzonej zeszycie więziennych piosenek. Sądzę, że warto te uwagi skończyć również cytatem. Posłuchajcie: „Drogi Dyrektor! W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Pana Dyrektora oraz cały personel schroniska. Panie Dyrektorze rozmawiałem z Kowalskim i Walusem o schronisku, powiedzieli mi, że nigdy nie znajdują tak jak w Wieluniu. Niech Pan Dyrektor pozdrowi chłopaków i powie im, że się bardzo dobrze czuje. Na tym kończę ten krótki list i czekam na odpis zawsze pamiętając o Panu i Wychowawcach Frankach”.

P.S. Wszystkie imiona i inicjały podane w tym artykule są fikcyjne.



Stanisław Czernik w karykaturze Ibsa — Grątkowskiego

O „STARYM ZŁOCIE” SŁÓW KILKA

Książkę tę pisał poeta. To trzeba podkreślić. Ale pisał ją nie tylko dla poetów; nie tylko dla etnologów. Książkę tę pisał miłośnik starej poezji i starej pieśni ludowej dla miłośników tych rzeczy. Kiedyś mówił Czernik o tej poezji, że są to „błyskotliwe, olśniewające frazy — pełne złota, bez jakiegokolwiek domieszki postronnej. Trafne, celne, w najwyższym stopniu skondensowane zdania, jak prawa w idealnie zredagowanym kodeksie: proste, zrozumiałe, jasne, pełne”.

Powtarzam, tę książkę pisał miłośnik takiej poezji „na prawach poety badacza”, bardziej szkiełcowo (jak przynajmniej) niżby uczynił to specjalista (wciąż nie istniejący), niemniej zawsze z poczuciem ostrożności i odpowiedzialności.

Pisał ją poeta, który chciał pokazać oddziaływanie pieśni ludowej na twórczość artystyczną, widoki, jakie i dzisiaj dla poezji otwierają wzory pieśni ludowej.

Jest więc książka Czernika poświęcona przede wszystkim „poszukiwaniom resztek „poezji”. Poszczególne szkice traktują o zabytkach polskiej pieśni ludowej (a więc szkice o szczątkach kołód, o pieśniach sobótowych, o najstarszych pieśniach historycznych, o starych balladach, o poezji zaklęć i uroczystościach ludowych).

Ciekawe są sformułowania Czernika odnoszące się do istnienia dwóch głównych formacji pieśni ludowej, które opierają się na odmien-nych, niemal przeciwstaw-nych konwencjach: formacja starsza, odznaczająca się przede wszystkim brakiem rymu i formacja rymowa. Brak rymów twierdził Stanisław Czernik, nie pochodził z niedostrzeżenia zjawisk współ-dźwięczności zgłoszek. Poeta przypuszcza, że rym jako element formalno-artystyczny był widocznie w dawniejszej epoce mało ceniony i mało potrzebny. Odwracałby uwagę słuchacza od treści utworu, co było potrzebne przede wszystkim w epice i w pieśniach obrzędowych, „zamiast rymu stosowano metodę powtarzania fraz, cząstek rytmicznych, dłuższych” zespołów zdaniowych, wreszcie refrenu w postaci okrzyku... była to konwencja bogata i mocno obwarowana tradycją, na pewno obca rymowi, który w tak zorganizowanym układzie mógł się pojawiać co najwyżej jako sporadyczny, przygodny, mało wartościowy nie zobowiązujący ozdóbnik”. Formacja następna rozpoczęła się z chwilą pojawienia się rymu jako samodzielnego czynnika formotwórczego. Byłby to wiek XIII. Oczywiście, rym nie wszedł od razu do pieśni. Jako ciekawy przykład zmagania się obydwu konwencji, rymowej i bezrymowej podaje Czernik zapisaną przez Glogera pieśń zwaną „Konopielką”.

Stwierdzenie oddziaływania tych dwóch konwencji, pisze autor, jest ważne przy rozpoznawaniu wieku utworów. Nie jest to zresztą jedyna metoda. Badanie motywów również służy temu celowi. Czernik poświęca dużo

miejsca analizie formalnej i językowej utworów. Bardzo interesujące są wywody Czernika o bliskości pierwotnej twórczości ludowej i literackiej i o drogach, którymi „przebiegała” poezja literacka do pieśni ludowej. Była to droga trudniejsza niż zjawisko przenikania pieśni ludowej do poezji pisanej.

Jest także książka Czernika poświęcona najwybitniejszemu zbieraczom pieśni ludowych polskich w XIX w. Zbieraczom typu Adama Czarnockiego (Zoriana Dolegi Chodakowskiego, 1784-1825), ojca polskiej folklorystyki, należałaby się, pisze Czernik, monografia historyczna. Niestety, takiej monografii jeszcze nie mamy. Wiedzieć musimy, jakie zastąpić krótkie składowe kronikarskie, „konieczny” wstęp do historii życia najwybitniejszych zbieraczy pieśni ludowych polskich w XIX wieku od Lelewela do Glogera”. Autor zaznacza, że ograniczył się tylko „do omówienia dorobku badaczy XIX wieku, chociaż nie tękwę cęwały zbiorów zestawionych później; ale za najpełniejsze zadanie naszej współczesnej folklorystyki uważa zbieranie i ocenę całego materiału XIX-wiecznego. Sprawa poezji ludowej przedstawia się o wiele gorzej niż prozy (bajki, klechdy), która doczekała się systematyki prof. Krzyżanowskiego. Czernik podkreśla, że przed folklorystyką polską stoi ogromne zadanie naukowego opracowania materiału i krytycznego wydania choćby części pieśni ludowych.

Jest książka Czernika także nowatorska, niestety, stwierdza autor, badanie zabytków polskiej pieśni ludowej nie weszło u nas w zwyczaj. Ale ten sam akcent pojawia się we wcześniejszych pracach Czernika. „Klechdy ludu polskiego” były pierwszą próbą wyboru polskiej twórczości klechdzarskiej. W „Humorze i satyrze ludu polskiego” Czernik podjął próbę zebrania, wyboru i usystematyzowania ogromnego materiału rozproszanego w kilkuset książkach i rocznikach czasopiśmi. „Poezja chłopów polskich” obok „Jabłoneczki” Juliana Przybosi, na którą zresztą autor „Starego złota” się powołuje, jest czymś więcej niż popularnym wyborem, a w każdym razie nosi ten sam charakter pionierski. Ktośkolwiek dziś, pisze Czernik, wstępuje na pogranicze między literaturą a folklorem, a zwłaszcza na obszar, który można by nazwać krainą pieśni ludowej, czuje się w roli samotnego wędrowca. Ale — Czernik ma nadzieję, że to samotne wysiłki może utrudniać drogę (powinny utworzyć systematycznym, zbiorowym badaniom. O takie badania wnosi Czernik. W „Stare złoto” — autor tej pięknej pełnej twórczych pomysłów książki należy do tych nielicznych entuzjastów (o nich sam pisze), którzy stara pieśń-poezję zachowują od zapomnienia, poszukują jej szczątków, jak cennych skarbów.

T. P.

Stanisław Czernik STARE ZŁOTO, O POLSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ, Wydz. PIW Rok 1962, str. 335.



Fot. W. Turowski.

Szkice amerykańskie (V)

SAMOCHODEM
przez
ONTARIO

A teraz przed nami prze-
szło dwa tysiące mil. Prze-
mierzymy je na czterech kół-
kach.

Z początku, póki jeszcze
wrażenia są świeże, ostrożnie
smakujesz nieznaną ład, jak-
byś brał do ręki egzotyczny
owoc zanim nadgryziesz go i
hawil się tylko jego barwą,
jego zapachem, kształtem,
wszystkim, co może dać prze-
czucie jego smaku, konsy-
stencji, istoty jego. Zresz-
tą każdy początek, czy krótki
moby, w obym kraju, to
chwytanie rzucających się w
oczy, powierzchownych nie-
kiedy cech, tego co migocze,
błyszczy, czy razi w uderza-
jący sposób. Istota życia
istota nieznanego kraju ukry-
ta jest głębiej, jak krew jest
ukryta pod skórą, w żyłach.

Wtedy tego ranka zrobimy
„skok” na szczyt Mount
Royal, aby obejrzeć panora-
mę miasta, stąd jak na dłoni
widzą ową „półdłapaczę”, —
„To nie to — mówią mi — tu
jest Kanada, zobaczysz u nas,
w Stanach...” Potem w tem-
pie trzeba pędzić na lunch,
bo zbliża się dwunasta. Po-
tem do autobusu.

Przed stacją autobusową,
gdzie mam złożone walizy,
rzucają się na nas tagarze,
ale my jesteśmy młode, sil-
ne, zdrowe — prawda? —
Damy sobie radę! Tu żadna
praca nie hanbi, każdy jej
rodzaj odczuwany jest szacun-
kiem; dziś jesteś urzędni-
kiem, jutro możesz być ko-
miwojażerem, zresztą te dwa
dolary można zaoszczędzić,
aby je pożytecznie wydać; tu
człowiek się spieszy i oszczę-
dza, tu pośpiech, oszczędność
i praca to pieniądź, pieniądź
to dobrobyt, dobrobyt to
szczęście, okey, więc chwy-
tamy za walizki, hop do au-
tobusu, tempo, trzeba schwy-
cić dobre miejsce, jedziemy
przecież osiem godzin aż do
Toronto, gdzie zmienimy au-
tobus na osobowy „Plymouth”
i będziemy „gazować” przez
kanadyjską prowincję Onta-
rio, potem przez stany Michi-
gan, Illinois.

I już siedzimy w autoka-
rze. Oddech ulgi. Po upale,
który ciebie turystę, niena-
wykłego do tego wilgotnego
gorącego klimatu rozkładal na
galaretowatą masę, czujesz
teraz jedyny chłód; wóz ma
aparaturę klimatyzacyjną, trzeba
nawet zarzuć na plecy
sweter. Ale ulgę i odprężenie
widzę także na twarzy Bon-
ny, która biegła ze mną pół
dnia po mieście, pokazywała
trochę architektury, wystaw,
Bonny bardzo zmieniła się od
tej pory, kiedy widziałymy
się lata temu w Polsce, daw-
niej to była powolna, weso-
ła, dobrze ułożona dziewczyna
z figlarnymi dolkami w po-
liczekach, teraz jest szczer-
pła, o wąskiej twarzy, podob-
na do rasowej charciey. Ma
szybką, energiczną ruchy,
błyskawiczny refleks, co wi-
dać szczególnie w prowadze-
niu wozu, mówi przedko, mo-

spostrzegać częściej, ten pro-
ces rozprężania się — gdy
ona i jej krajanie będą wła-
dali do aut, gdy będziemy
mieli przed sobą wyjazd na
sobotni i niedzielny weekend,
albo na wakacje. Potem zro-
zumie to: auto, weekend,
urlop jest tam określona ilo-
ścią dni czy godzin, w któ-
rych zrzucasz z ramion oba-
wiązki, pamięć o interesach,
często o konieczności zacho-
wania twardzi, przekonującej
wszystkich o twoim niezach-
wywanym powołaniu; w
tych godzinach biuro jest
zamknięte, jesteś wolny, nie
musisz się spieszyć na sta-
cję, myśleć o klientach, nie
musisz myśleć o dzieciach,
dzieci są obok ciebie, na tył-
nym siedzeniu auta, albo po-
zostawione pod opieką rodzi-
ny, sąsiadów, babysister. Je-
dziesz i nie musisz myśleć
o tym co zrobić, aby wyko-
rzystać jak najbardziej racjo-
nalnie każdą minutę czasu.
Następuje przymusowe wyła-
czenie, rozsądna zgoda na
nie, na to zaplanowane siła
faktu nie nierobienie, nie
myślenie; przychodzi rozluź-
nienie gorsetu, napięcia ner-
wowego, słowem — relaks.

Ala tym razem relaks jest
dla nich, nie dla mnie. Oni to
wszystko widzieli, znają, żyją
pośród tego, ja — patrzę i
chłonę do granic pojemności
swej uwagi.

Montreal dawno za nami,
wjeżdżamy na autostradę,
która od wschodu prowadzi
na zachód, od Oceanu Atlan-
tyckiego biegnie na przestrze-
ni czterech i pół tys. mil
aż do Pacyfiku (6 nieprze-
rwanym dni jazdy autem).
My pojedziemy tylko częścią
tej drogi, ale to wystarczy,
aby sobie przypomnieć słowa
amerykańskiego powieściopis-
sarza Roberta Penn Warrena,
(którego „Gubernator” wy-
szedł właśnie we wznowieniu)
o tych drogach, które „są
białe jak kość, proste jak
sznurki, gładkie, lśniąco i mi-
goliwe w upale i dźwięczące
pod oponami jak napięty
nerw” — o ile, Mrs Warren,
nerv dźwięczy.

O, one są nie tylko proste,
gładkie i lśniąco. Nie, o tej
rzeczy, która naprawdę chy-
ba jest czymś najpiękniej-
szym, co zrobił u siebie ten
kraj, o tych autostradach,
których obecność i ich nar-
kocytyczny urok wyścisła takie
piękno na literaturze amery-
kańskiej że przypomniał „Na
drodze” Keruaca, „Lolite” Na-
bokowa — a które zwyciężyły
przeżycie i zawładnęły nią
— da się powiedzieć dużo
wiecej, już nie poetyckich
rzeczy; zwykłych, prostych.
Tych dróg jest spora rozmai-
tość: od normalnych dwu-
rownych szos, poprzez tory au-
tobusowe, potem tzw. „high-
way’e”, jak właśnie ta,
która pognamy ku Toronto.
Autostrady te są wielopozio-
mowe, bez skrzyżowań, prze-
rzucone mostami biegną po-
nad poprzecznymi szosami.
Jedziesz więc bez zatrzymy-
wań się na światła, żadnych
światła drogowych zresztą
nie ma, prócz lusterek na za-
krętach, które nocą chwytają
światło twojego reflektora i
ostrzegają cię tym pożycz-
nym blaskiem. Wprawdzie
dozwolona szybkość wynosi
od 80 do 100 kilometrów na go-
dzinę, ale kto na tych bez-
ludnych przestrzeniach tego
upilnuje; trasy te wymijają
wielkie miasta, zatłoczone
drogi dojazdowe do nich.
Chcesz zmienić kierunek z
zachodniego na południowy —
dojeżdż do bocznej odnogi au-
tostrady; jej łuki — jeden
w lewo, drugi w prawo —
wyrzuca cię z głównej ma-
gistrali; zatoczywszy koło,
spłyniesz na dół na drogę
prowadzącą w potrzebnym ci
kierunku. Tam, jeśli chcesz
zatrzymać się na inną „high-
way” spojrzysz na znak dro-
gowy, zawiadzie cię znów na
expressway; jeśli nam się

spiesz, lepiej jest jechać ta-
ką autostradą, trzeba tylko —
bagatelka — uiszczyć myto;
przy wjeździe na autostradę
stoi brama i budka, w locie
chwytasz kwitek, oddajesz go
w budce przez którą zjedziesz
z tej drogi; tu wszystko jest
prywatne, koleje, autobusy,
drogi; autostradę zbudowało
jakieś Towarzystwo, które
zwabia pasażerów od opłat
dopiero, gdy osiągnie z nich
przewidywany dochód.

Ta droga pędzimy przez
Kanadę: pośród wzgórz, po-
śród kamiennych wąwozów z
czerwonego kamienia, w któ-
rego szparach widać odsło-
nienie, poskręcane, jak grzy-
ły żył, korzenie sosen; pędzi-
my przez lasy, łąki, zоста-
wiamy po bokach pastwiska
ze stadami tysięcy krow, ko-
ni, których nikt nie pilnuje.
Wysokie kępy gęstej trawy
mówią, że tu przed miesią-
cem albo rokiem padło któreś
z tych zwierząt, używając
sobą ziemię. Czasem minie
jezioro z kolonią domków
kempingowych na jego brze-
gach, z pomostami biegnącymi
w głąb granatowej wody;
gdzieś widać stół pod
drzewami i beczkę blaszaną
na odpadki; to są miejsca
przeznaczone dla wycieczko-
wiczów na piknik, tutaj roz-
bijają namioty, albo spijają
w autach, a przywiezione go-
silkę spożywają na tych wła-
śnie stołach wbitych na sta-
le w ziemię. Gdzieś niedaleko
mignie nam wieżyczka spor-
to-klubu, to przeznaczone
Country Cluby, ekskluzywne
kluby dla bogatych ludzi,
gdzie mogą oni spędzić wee-
kend, ale i zaprosić na obiad
swoich mniej zamożnych go-
ści (byłymi, a jakże, w ta-
kim klubie milionerów). Ci
ludzkowie, chodzący z kija-
mi po cudownej zieleni pól
zatkniętymi w nich chora-
giewkami — to gracze w gol-
fa. Zagramy sobie potem
kiedyś, dlaczego nie, na pu-
blicznym terenie golfowym,
golf nie jest już w tym kra-
ju sportem prezydentów i mi-
lionerów, za opłatą pięciu do-
larów można wszędzie zagrać
partie, ten sport się zdemo-
kratyzował; prywatni przed-
siębiorcy rozbudowują sieć
terenów golfowych.

Potem, im dalej na połud-
nie ku Stanom — teren wy-
równuje się, robi się płaski;
jedziemy teraz drogą między
łanami kukurydzy, ciągnącej
się nieprzerwanie setkami
mil. Oni przy okazji mówią,
że kariera kukurydzy u nich
się zaczęła, nie mogąc się na-
dziwić dlaczego w Polsce
przyjęto hasło uprawy jej ja-
ko rośliny pastewnej z takimi
oparami. Ale — szynka
polska — powiadają, szynka
trudno karmionej ziemia-
kami jest lepsza, mniej mdła,
mniej tłusta, bardziej smacz-
na, a więc chwala twoja po-
lish ham! bekony roznoszą
nasze imię po świecie.

Potem zaczynają się sady
brzoskwiniowe. I żadnych
wsi w naszym pojeździe, farma
to jeden luźno stojący dom
w kilkudziesięciu a nawet
kilkutysięcznohektarowym go-
spodarstwie. Dom normalny,
duży, piętrowy, wyposażony
we wszystkie zdobyczne tam-
tejszej wysoko rozwiniętej
techniki (łazienki, lodówki,
garaże na osobowe auta) z za-
budowaniami gospodarczymi
na zboże, na konie... mecha-
niczne: kombajny, traktory,
żniwiarki (podobno jeden
człowiek wypada na 100 he-
ktarów ziemi). Pracę w gos-
podarstwie wykonuje gospo-
darz z synami i z sezonowymi
robotnikami, żniwiarzami,
którzy najmuja się do żniw
z własnym kombajnem, jeź-
dząc z własnym domem na
kółkach. Do pracy dorywczo
w polu dojeżdżają ekipy ko-
lorowych, Murzynów, Me-
ksykanów, którzy kolejno w
miarę dojrzewania plodów
wędrują z południa na pół-
noc, służąc farmerom i po-

północnym pobyć wracają
z zarobkiem do swego Me-
ksyku, czy gdzie indziej.

Bliskość farmy owocowej
poznasz po straganach usta-
wionych na skraju szosy,
piętrzą się na nich plody
ziemi, jarzyny, owoce, jadła-
na kukurydza, kwiaty, hodo-
wane ogrodnictwo jagody czar-
ne, wielkie jak nasze czereś-
nie. Wszystko to ułożone jest
z poczuciem harmonii kolo-
rystycznej, ze znajomością
zasad estetyki handlu, wygła-
da nieczym nasza pięknie za-
wsze wyglądająca witryna ja-
rzynowego sklepu u zbiegu
Piotrkowskiej i Tuwima.

Małe osady składają się z
kilkunastu przecieci, zabudo-
wanych drewnianymi prze-
ważnie domkami w tzw. tu-
taj stylu dziewiętnastowiecz-
nym. Wszędzie wzdłuż całej
trasy, w miastach, miastecz-
kach i osadach co chwila
stacje benzynowe, stacje ob-
sługi — wylakierowane na
biało, czerwono, niebiesko, w
nocy z daleka klujące ostrym
blaskiem neonów. Można tam,
przy barze takiej „gazsta-
tion” napić się nieśmiertel-
nej „koffi” (mieszanka za-
wierająca 30% prawdziwej
kawy), a także piwo, coca-
colę, pepsi-colę, Seven Up,
zjęść owo typowo amerykań-
skie cudeńko zwane paj (pie),
czyli w cieniutkiej jak bibu-
łka skorze ciasta zapiekane
owoce — jabłka, jagody,
truskawki, zamrożone po u-
pieczeniu, podawane także z
kremem z bitej śmietany. Tu
wreszcie pasażerowie kupują
w tórebkach chipsy (smażone
płatki kartoflane), słodycze,
papierosy, puszcza samogra-
jąca szafę z Armstrongiem
lub Anką, zagrają w małe,



elektryczne kregle, w umy-
walni umyja ręce, ocierając
je w papierowej ręczniku. I
znowu jazda dalej.

Ala najzabawniejszy w tym
pojeździe, w tej jeździe jest
spotykany oczywiście częściej
przy miasteczkach i w sa-
mych miastach widok pla-
cyków okolonych sznurami
barwnych chorągiewek i gir-
landami żarówek palących
się dniem i nocą (reklama,
reklama), placówką z dużym,
wysoko umieszczonym napi-
sem USE CARS (używane sa-
mochody). Widok to jakiś
świąteczny i wesołomiastecz-
kowy, trochę zabawny, dzie-
cinny, ale zwracający uwagę.
Wszystko zdaje się w nim
wolać: „Stop, zatrzymaj się,
wysiadaj, obejrzyj sobie nas
przynajmniej, nie musisz ku-
pować! Zobacz mnie — proszę
duży, czarny Buick o podnie-
sionych do góry skrzydłach
— służyłem swemu panu tyl-
ko rok, przejechałem szesna-
ście tysięcy kilometrów (tyle
mniej więcej robi rocznie a-
merykański osobowy samo-
chód), wszystko mam w por-
ządku, mój pan pozbył się
mnie tylko dlatego, że go
skusił nowy model Forda, a
czym on się różni? Tym, że
ma z tyłu zamiast dwóch
światła czerwonych — czte-
ry... A mały skromniej-
szy popularny „Fon-
tia” wysciubia swoją maskę
z Buicka i namawia i krzy-
czy pstrkota niebieską far-
bą. A ja! ja! — mnie zabra-
no mojemu panu bo nie pla-

cił rat, jestem jak nowy, da-
ję słowo, weź mnie! Boisz
się, że „nawale” zanim mi-
nieś przeciętnie, że będziesz
jeszcze musiał płacić dziesięć
dolarów, aby mnie wywieźć
na ementalarysko aut, że spe-
dzisz przy moim motorze
wiecej godzin, utyflany w
smarach i oliwie, niż za kie-
rownicą, jak ci chłopcy, któ-
rzy z własnych oszczędności,
nie mogąc się doczekać swo-
jego pierwszego auta, kupują
stare gruchoty za 60 dolarów
i cały dzień leżą na ziemi
pod wozem?... Nie chcesz, to
nie, jedź dalej, Bóg z tobą,
obysł nie miał kraksy i nie
miał wrócić po któregoś z
nas, bo czy masz na nowy
wóz, jeśli tego, którym jeź-
dziłeś, jeszcze nie spłaciłeś?”

Tych placów USE CARS
z chorągiewkami i sznurami za-
rów jest nie mniej niż wiel-
kich reklam malowanych na
całych ścianach domów lub
umieszczonych na rusztowa-
niach, obwieszonych neona-
mi, niż piętrowych reklam
ustawionych przy szosach
przecinających bezładne ob-
szary, któryś śmigają tylko
auta i duże wagony, ciężaro-
we troki. W dzień uśmiecha-
ją się do ciebie z reklam
przydrożnych cudne girlsy,
wsparte na rękach z różowy-
mi migdałowymi paznokcia-
mi (reklama lakieru), nocą
wyskakują nagle zza zakrętów
ogromne czerwone usta, nie
wiecej tylko te świecące kar-
minowo usta („Używaj szmin-
ki Heleny Rubinstein, tylko
szminka marki Heleny Ru-
binstein sprawia przyjemność
w pocałunku i zapewni
szczęście w miłości”), blask
reflektorów wyluskuje z ciem-
ności urodziwą twarz ame-
rykańskiego młodzieńca o
śnieżnych zębach („Pasta do
zębów marki Calypso utrzy-
muje jamę ustną w idealnej
czystości i daje wonny od-
dech”), i powołanie w inte-
resach, szczęście w miłości.

Później zobaczymy w sa-
mym sercu New Yorku na
Time Square taką dużą na
dwa piętra głowę chłopca;
będzie on z ust wypuszczal
najprawdziwszy dym z pa-
pieroś (Cala Ameryka pali
Camele); frontony wielu do-
mów przysłaniają tam brzydkie
rusztowania, podtrzymujące
te naturalistyczne reklamy
ale... Ale za to w nocy
wszystko będzie migotało,
drżało od blasku, mieniło się,
tonęło w światłach różnobar-
wnych. Na pobliskim Broad-
wayu szumi od kaskad elek-
trycznych, zagarnia cię ule-
wa neonowych reklam; każ-
da wola do teatru, do kina,
do lokalu — które tutaj u-
mieściły się dom w dom. Ja-
śniej jest niż w najświetniej-
szych miejscach. A w kilka
miesięcy potem, na jakiś czas
przed Bożym Narodzeniem
zobaczymy feerie: nad ulica-
mi zawisną festyny żarówek,
wielkie frontony domów po-
kryją choinki z lampek wy-
sokie na kilka pięter, we-
wnątrz sklepów na kryszta-
łowych sztach staną drzew-
ka autentyczne i sztuczne,
odbijające w nylonowych
srebrnych szpilkach setki ża-
rówek z kryształowych, roz-
migotanych świeczników, po-
dwójne o pozawieszane wsze-
dzie girlandy lamp. Przed lu-
strami szklanych drzwi dwo-
nić będzie dzwonkiem świe-
ty Mikołaj z siwą brodą, grać
na trąbach umundurowane
kobiety z Armii Zbawienia.
W witrynach zabłysną suknie
z brokatu, z lamy, z ecki-
nów, z rybiej łuski, sznury
szlachetnych wielkich pereł,
kamieni, na ulicach pokażą
się pochody w maskach, w
kostiumach i rozpoczyna się
szczęśliwe dla wielkiego byz-
nesu dni gorączkowych zaku-
pów, kiedy tłumy będą się
przelewały przez sklepy Wo-
olworthów, Sternów, Gimbel-

sów, Saksów — kupując pre-
zenty, tysiące prezentów; w
te dni wszyscy wszystkich ob-
darzają prezentami, wszyscy
wszystkim — wysyłają poczt-
ówki; te pocztówki prośone
złotem (stajenki betlejemskie,
Trzej Królowie, Maryje, Ho-
stie) rozwieszają się potem na
nitkach nylonowych w mies-
kaniach, jako widomy znak
sympatii i uznania ludzkiego.

Kiedy się potem te wszystkie
barwy, światła i obrazy na-
łożą na siebie — zdaje się
chwilami, że ten kraj to Wiel-
kie Wesołe Miasteczko, że
beztrosce ludzie nie myślą
tu o niczym więcej niż o
tym, co mogą wchłonąć o-
czywista, że są spokojni, wese-



li, nasytzeni radością posiada-
nia. — Czasem jednak wy-
starczy kilka słów z głośnika
aby naraz nasze oczy spotka-
ły się nad głowami dzieci,
nad polyskaniem niklowych oz-
dób aut; wszystko szarzej,
traci wartość (a może zys-
kuje tym większą?) i czujemy
wszystko — głębi ziemski drż.
Kiedys na biurku pary mło-
dych chicagowskich plasty-
ków, pracujących w wielkiej
agencji reklamowej, w ciem-
nym pokoju za drewnia-
nym przepierzeniem pod na-
gą żarówką obok projektów
reklam, reklam wielkich kon-
cernów odzieżowych, obok
hasel utwierdzających w ma-
sach konsumentów filozofię
szczęścia przez posiadanie —
zobacz dzieło Emersona, któ-
rego jeden z przodków modlił
się, aby Bóg oddalił od niego
„przekleństwo bogactwa”.

Innym razem, gdy będzie-
my wjeżdżali w godzinach
największego ruchu z Chica-
go i utykali na Madison Ave-
nue w ciągłych „korkach”,
kierowca, Polak powie: „Nie
daj Boże wojny, przecież
przy pierwszym alarmie my
się porzucamy, poogniamy
na miazgę na tych naszych
pięknych autostradach w
tych naszych pięknych
autach”.

Nie mówmy o wojnie, ma-
my jej dosyć w krzyżach,
czyż wszędzie nawet na drugi
kontynent ma iść za na-
mi niepokój? Zdać się, że
oni tu nie lubią naszego eu-
ropejskiego niepokoju. Po-
patrzmy lepiej na Lake Mi-
chigan, jego chłodne wody
dają wytchnienie oczom i
nerwom.

Ala to będzie potem, potem
dopiero, po kilku miesiącach;
teraz przecież zbaczamy do-
pięro z autostrady wiodącej
przez Ontario, odbijemy się
60 mil na południe, aby zo-
baczyć Niagarę. Wprawdzie
gospodarzem moim spieszę
się, spieszę się jadąc z na-
mi parze Irlandczyków — do
pracy, do dzieci, wprawdzie
prytaczają znane tu powie-
dzenie: dwa są rozczarowa-
nia w życiu człowieka — noc
poślubna i Niagara Falls, ale
nikt z nas owej, jak oni po-
wiadają „Najager Fols” nie
widział, zobaczmy ten siód-
my cud świata, kto wie, czy
nasza noga stanie tu jeszcze
kiedyś?

odgłosy

str.
5



eno akcentując sylaby; nawet
jej wesołość jest inna niż
dawniej, zupełnie nie rezle-
wna, można by rzec „męska”.
Mówię jej to, odpowiada rów-
nież wziewie, krótko, bez
psychologicznych zawiąsów;
Ameryka.

I ta Bonny — przed godzi-
ną szybka, sprężona, napięta
— teraz w autobusie „odpa-
rowuje”, rozluźnia się psy-
chicznie. Potem będę to

Eugeniusz Jędrzejko i Andrzej Wozniesiński są reprezentantami młodego pokolenia poetów ZSRR. Obaj mają za sobą kilka tomików wierszy i bardzo wiele publikacji prasowych. Na ich wieczory autorskie przychodzi tłumy ludzi, którzy nie zawsze mogą dostać się do sal, gdzie poeci spotykają się z publicznością. Po wieczorach odbywają się burzliwe dyskusje, trwające zazwyczaj wiele godzin. W czasie tych dyskusji mówi się o formach poezji nowoczesnej, o sprawach etyki i postaw młodego pokolenia budowniczego komunizmu.

Wiersze Jędrzejki i Wozniesińskiego tłumaczy się ostatnio na wiele języków. Obaj poeci wiele podróżowali i utrzymują liczne kontakty z pisarzami Wschodu i Zachodu: m. in. także z poetami młodego pokolenia w Polsce. Wozniesiński pisał nawet w jednym z wierszy, że uważa Polskę za ojczyznę poezji. Dodajmy, że poeta jest z wykształcenia architektem i brał udział

w zaciągu pionierskim zagospodarowywania bezludnej terytorii syberyjskiej. Echa tej wyprawy znajdujemy w wydanym u nas ostatnio tomiku wierszy — „Parabola”.

Eugeniusz Jędrzejko reprezentuje nieco inny nurt młodej poezji radzieckiej. W wierszach jego znajdziemy może mniej efektownych metafor, więcej natomiast refleksji filozoficznych. Jędrzejko, który przez wiele lat mieszkał w Gruzji, jest jednocześnie świetnym tłumaczem i znawcą poezji gruzińskiej.

Wozniesiński i Jędrzejko są najpopularniejszymi w tej chwili poetami młodego pokolenia w ZSRR. Ale za nimi stoi cała plejada ciekawie zapowiadających się poetów. I to także pisarzy innych narodowości Związku Radzieckiego.

Postanowiliśmy więc zaprezentować także poetów innych narodowości: Gruzina Fridona Chawaszi i Łotysza Ojara Wacietisa.

R. G.

ANDRZEJ WOZNIESIŃSKI

ZIEMIA

Lubimy nogami bosymi
Stąpać po ziemi.
Po miękkiej, świeżej, drogiej nam ziemi.
A gdzie? W Abisynii?
Albo w Messynie?
W Hawanie? W pustyni?
W rzymskiej wsi?
My
Ludzie
Po ziemi stąpać lubimy.

W nas prądy ziemi jak dreszcz przebiegają.
Lecz jak izolator nas rozdzielają
Aut, asfalty i ulic kamienie...
W miastach nie znają już zapachu ziemi.
I nagle uśmiech — przez miasto,
przez gnejsy

Zielone drzewo
wysztela
jak gejer!...

Marzę o ziemi bez kajdan, okopów,
Niezakopconej, tej w snach teleskopów,
W eukaliptusach, w lipach, w pawich łęczach,
W szalonych windach,
W deszczach aluminium!
Świat mój i kobiet, pociągów naprzeciw —
Furczący,
obfity,

cudownie — człowieczy!
A gdzieś, tam na Marsie, wyjdzie gość z Ziemi.
Wyjdzie. Uśmiechnie się. Wyjnie garsć ziemi.

Garstkę drogiej, gorącej,
Gorzkiej trochę, pędzącej
Daleko w świat wielki
Ziemi — rodzicielki!

Przełożył ROMAN GORZELSKI



Dalszy ciąg
ze str. 1

SPOTKANIA z POETAMI

tryczny, nawet ruletka. Majakowski nazywał swą półkę „domem towarowym” i stawał tam wszystko, czego w danej chwili nie potrzebował. Umieszczono półkę stosownie do jego wzrostu, wysoko. Zarzekał, że to bardzo wygodnie, bo jeżeli jakąś rzecz położy, nikt jej na inne miejsce nie przestawi — po prostu nie dosięgnie.

W kącie jadalni wisi telefon z niezwykle długim przewodem. Zainstalowano go tak na prośbę Majakowskiego. W czasie rozmów telefonicznych poeta lubił spacerować po pokoju. Zartował z siebie:

I dniem i nocą kot uczony
Wciąż na łańcuchu chodzi
wkrąg...

Na prymitywnej lodówce bliższy samowar — być może ten sam, z którego piło herbatę zaproszone przez poetę słońce? Kiedyś stał tutaj także odbiornik radiowy. Majakowski był jednym z pierwszych pisarzy, którzy występowali przed mikrofonem. Powiadają, że po wejściu do studia radiowego zerknął w stronę mikrofonu i zapytał:

— A dużo tam ludzi?
— Cały świat! — odpowiedziano mu. Na to Majakowski z całą powagą:
— Wystarczy, więcej mi nie potrzeba...

Przechodzimy do drugiego i ostatniego pokoiku mieszkanca, który służył poecie za gabinet i sypialnię.

POKOJ DRUGI

Bardzo mały. — Zdawało nam się — wspomina M. Asiejew, że Majakowski nie wchodził do pokoju, a wciąga go na siebie niby koszulkę, która trzeszczy w szwach.

Przy oknie wielkie, wygodne biurko. Na nim leży poezja, na miarę wzrostu Majakowskiego, pióro wieczne, czarne, z wielką złotą stalówką. Obok ostatni notes poety ze szkicami niedokończonych poematów „Pełnym głosem”. Kalendarz otwarty jest na 12 kwietnia 1930 r., dniu kiedy Majakowski napisał ostatni swój przedśmiertny list, ogromnymi literami na trzech podwójnych arkuszach papieru listowego — „WSZYSTAKIM”.

„O to, że umieram, nie wiacie nikogo i nie plotkujcie, proszę. Nieboszczyk strasznie tego nie lubił...”

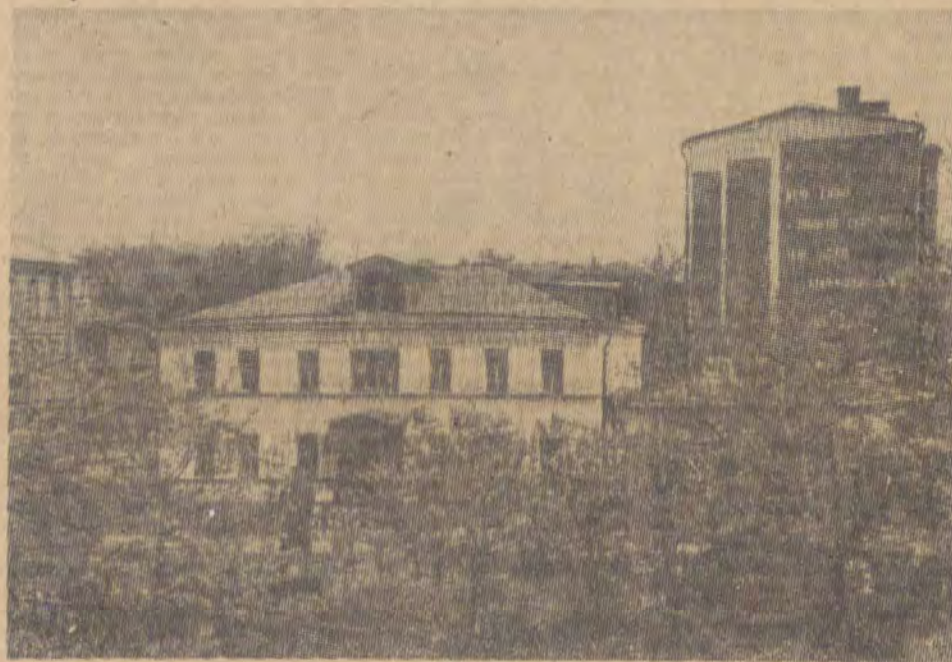
Nie plotkujmy więc na temat tej tragicznej śmierci.

Na łazience zegarka marki „Moser” za pięć wópól do drugiej. Obok dużej metalowej zapalniczki odpieczetowana paczka „Wolgo-Donów”, w niej kilka papierosów. Odnosi się wrażenie, jak gdyby gospodarz wyszedł na jedną chwilę. I tylko szyba ochronna nad biurkiem wskazuje, że więcej tu nie wróci.

MÓWIA KSIĄŻKI

Przewodnik wprowadza nas do drugiej części Muzeum. Tu, w dwóch pokojach, zebrano materiały, dotyczące twórczości Majakowskiego.

str. 6 **odgłosy**



W tym domu mieszkał Muzeum Majakowskiego

— Za życia poety — mówi — ukazało się 99 tytułów jego książek: nie darmo w swym słynnym poemacie Majakowski z dumą wznosi „100 tomów swych książeczek partyjnych”. Oto pierwsze wydania tych tomików — wiele z nich to już unikatki...

Przed nami pierwsza książka Majakowskiego: — „Ja”, wydana w roku 1913, w nakładzie 300 egzemplarzy. Okładka, którą zaprojektował i wykonał sam poeta, jest kopia... jego krawata. Oto tragedia „Włodzimierz Majakowski” wydana przez „Pierwsze czasopismo futurystów rosyjskich”, dalej „Obłok w spodniach”, „Flet-kregosłup”, „Abecadło radzieckie”, wydane w ciężkich dniach jesiennych r. 1919, kiedy papier był rzadkością i nie pracowała większość drukarni.

To było abecadło polityki — komentuje nasz przewodnik. — Jak państwo widzą, każdej literze alfabetu towarzyszy satyryczna „czastuszka” wyszydająca wrogów władzy radzieckiej. Mamy tu również pierwsze wydanie poematu „150 000 000” bez nazwiska autora, który pragnął, aby cały 150-milionowy podówczas naród radziecki uważał się za twórcę tych strof. Proszę zwrócić uwagę na dedykację...

Czytamy: „Włodzimierzowi Leninowi — Włodzimierz Majakowski. Z komfut-pozdrowieniem” (chyba — „komunistyczno-futurystycznym”) — Poemat „Dobrze” — mówi przewodnik — czytał Majakowski w dziesiątkach miast. Podczas jednego z wystąpień zapytano go, nad czym teraz pracuje.

— „Teraz piszę poemat „Ziel” — odrzekł poeta. Rzeczywiście, nosił się z

zamiarem napisania takiego utworu. Zamiar ten zrealizował w cyklu wierszy satyrycznych, opublikowanych w r. 1928 w „Krokodyle” i „Tchórz”, „Pompador”, „Pluszkin”, „Idylla”, „Plotkarz” i inne. „Jeśli widzicie zło, nie przechodźcie obojętnie” — wołał.

Tak, to był rzeczywiście „asensator” zmobilizowany przez rewolucję”. W „czas-tuszkach” dla robotników, żołnierzy i chłopów, w cyklu nieprześlęgniętych reklam dla moskiewskiego domu towarowego (za które zresztą nie szczędził mu słów oburzenia Jesienin) nieraz stawał „na gardło własnej pieśni”. Wtedy, za jego życia, było to potrzebne.

Nasz cicerone recytuje Majakowskiego często. Głos ma niski i wyrazisty, deklamując swą traktację bardzo powoli, nie widać, że głęboko czuje poezję autora „Łaźni”. Ciekawe, że choć na pierwszy rzut oka mało ma w sobie z Majakowskiego, staje się wtedy do niego podobny.

— Właśnie — mówi — Majakowski był pierwszym poetą radzieckim, który pisał o Kubie i — proszę spojrzeć — „gował” nawet Hawanę. Oglądam rysunki stolicy bahamskiej wyspy, barwne plakaty propagandowe, rysunki i kadry z filmów, w których występował poeta.

W muzeum przechowywane są nie tylko dzieła Majakowskiego. Wiele miejsca zajmują książki innych, dedykowane wielkiemu poecie — prace Lunaczarskiego, proza Gorkiego i Gładkowa, poezje Asiejewa i Utkina... Znajdujemy wśród nich tomik wierszy Adama Ważyka, a potem dłu go stoje przed „Dynamem nad miastem” Broniewskiego z napisem: „Włodzimierzowi

Majakowskiemu — poecie rewolucji”.

— A czy nie chciałby państwo usłyszeć głosu Majakowskiego? — pyta nagle przewodnik. — Tylko — dodaje — uprzedzam: recytacje poety nagrane są z płyty amatorskiej i pomimo wielu zabiegów kosmetycznych jakość jest niska.

Cisza. Potem trzaski i szumy, z których wynurza się słowa Majakowskiego. To wiersz „Miłość wojenno-morska”, o małżeńskich parze torpedowców. Głos Majakowskiego brzmi inaczej niż to sobie zwykle wyobrażamy — bardziej miękko, mniej patetycznie.

Z tej samej taśmy słuchaliśmy jeszcze Jesienina w dwóch jego słynnych utworach — fragmencie z „Pugaczowa” i „Spowiedzi chuligana”. I, doprawdy, deklamacja Jesienina była bardziej „majakowska” niż samego Majakowskiego.

Godzinami stać można nad gablotami wyczuwając się w kartki, które poeta otrzymywał podczas swoich wystąpień. W muzeum jest 4380 takich karteczek. Bardzo nieraz charakterystycznych. Kilka udało mi się przepisać: „Widzicie, towarzyszu Majakowski, jak słuchają was robotnicy! Z całego serca radzą wam podczas każdego przyjazdu występować w klubach robotniczych”.

„Na każdej prelekcji zadają wam pytanie: dlaczego proletariatu nie rozumie Waszych wierszy? To bzdura! Na każdej przerwie robotnicy proszą mnie o recytację Waszych wierszy”.

No i jeszcze pytanie o charakterze nieco innym: „Kłamstwem czy prawdą jest twierdzenie, że gdy czujecie ataki natchnienia, ka-

żecie się przywiązywać nogami do sufitu i w takiej pozycji tworzyć swoje najlepsze rzeczy?”...

Jedną z drugą wchodzi do ciasných pokoi muzeum grupy ludzi. Jak nie pasuje to małej mieszkanie do jego ostatniego lokatora! O wiele łatwiej przedstawić go sobie na największym placu Moskwy — placu Majakowskiego. W r. 1958 wzniesiony tu został brązowy pomnik poety.

Otwieram książkę, którą otrzymałem od przewodnika. Dedykacja na pierwszej stronie rozpoczyna się słowami:

L'ubiaszeje Majakowsko — da wied eto dinastija!

Słowo „L'ubiaszeje” jest w kontekście poematu „Obłok w spodniach” rodzaju żeńskiego:

„Kochanki Majakowskiego!” to przecież cała dynastia księżniczek — na serce wariata intronizowanych — przetłumaczył Tuwim.

Dedykacja jest więc trawestacją słów poety:

Wielbiciele Majakowskiego — to przecież cała dynastia!

II. POETA MIŁOŚCI

Nieczęsto prozaik debiutowe w 40 roku życia. A co dopiero poeta. Do takich wyjątków należy popularny liryk radziecki Stepan Szczipaczow.

Różna bywa droga do poezji... — Elegancki siwy pan zamyśla się. Głos ma niegłośny i spokojny, tylko długie palce nerwowo nieco akcentują rytm słów. — Wielu współczesnych mi poetów, Majakowski, Utkin, Kazin, uzyskało rozgłos wraz z napisaniem pierwszych strof. Początek mojej literackiej biografii nastąpił znacznie później...

Opowiada o sobie, prostym wiejskim parobku, który pobierał naukę tylko na marginesie życia i wszedł do literatury dopiero po dwudziestu latach prób poetyckich.

Tak toczyła się rozmowa z prezesem oddziału Moskiewskiego Związku Pisarzy Radzieckich. Przy czym autor zastrzegł się, że nie wygłosi prelekcji przewidzianej w programie. Nie zdziwiło nas to — stylizujemy już, że nie lubi wystąpić publicznych.

Prelekcje są zazwyczaj nudne — uśmiecha się Stepan Pietrowicz.

Dlatego też proszę raczej o zadawanie mi pytań: będę mógł mówić o tym, co państwa najbardziej interesuje.

— Chciałoby państwo usłyszeć o moich ostatnich pracach... Właśnie wczoraj otrzymałem pierwszy egzemplarz mojej nowej książki pt. „Dumy”. Napisałem ją w roku ubiegłym, wszystkie zamieszczone tam wiersze są nowe. Przeważają wśród nich rozważania o ludzkości, o dniu dzisiejszym i jutrzejszym, o sobie...

Jak piszę?... Cóż — czasem widzi się wszystko od razu, trzeba tylko zapisać, po prostu — zapisać... W moim nowym zbiorze jest pewien utwór, sześciowerszowy, bez tytułu — napisałem go jednym tchem, w ciągu czterech minut. Było to zimno w sanatorium — śnieg, gaje brzo-zowe, dużo wolnego czasu.

Rozmawiałem z młodą kobietą, nazywała się Lidia. W dowódzie osobistym napisano omyłkowo imię — „Lilia”. Lidia rozplakała się ze zmartwienia. Patrzałem na nią i myślałem, jak podobna jest ta uroczą istotą właśnie do lilii, do kwiatu na smukłej łodyżce. Tak powstał wiersz. Natomiast nad ostatnią zwrotką „Brzoźki” mozoiliłem się cały rok.

Cóż powiedzieć o młodych poetach... Strumień literacki zawsze jest wzbierający i selekcji dokonać może jedynie czas, znawca wnikliwy i surowy, a niemal zawsze sprawiedliwy. Ciekawy jest Jędrzejko — talent niewątpliwy. Wniósł do poezji coś bardzo swoistego, własną intencję, obrazowanie, rymy, rytmy. Jeśli chodzi o Wozniesińskiego, to ten jest bez wątpienia najbardziej „lewicowy” i najoryginalniejszy. Złożony, poszukujący, niekiedy chaotyczny, ale przede wszystkim — nowatorski. Gdy dojrzeje, stanie się bardziej komunikatywny; tak było i z Majakowskim i z Jesieninem. Ciekawi, choć jeszcze nie ukształtowani są Rożdiestwenski i Achmadulina (niedawno ukazał się pierwszy jej tomik). Sukcesy młodszych cieszą mnie, w pełni akceptuję poszukiwania w poezji, która nie może stać w miejscu. Sam piszę raczej tradycyjnie, ale wysoko cenię nowe formy wersyfikacyjne i nie jestem skłonny do oskarżania kogokolwiek o formalizm, co się niestety u nas zdarza.

Czy maleje zainteresowanie poezją u młodzieży? Nie — u nas wzrasta. Wieczory literackie odbywają się zawsze przy pełnym audytorium, tomiki wierszy ukazują się w olbrzymich nakładach i natychmiast znikają z półek księgarskich. Młodzi piszą dla młodych — jest to zjawisko budujące.

Prosimy Szczipaczowa o przeczytanie wierszy. Zaczyna od nowych — mówi o zawrotnym rytmie naszych czasów, o rozmachu poczynań ludzkich... Poezja jego jak zawsze jest komunikatywna i plastyczna; uderza szereg nowych dla poety obrazów, które można by nazwać kosmicznymi.

Widzisz — włosy mi pobie-lila
Twa droga mleczna — albo:

Ziemia, niby jabłko na drzewie wszechświata...

Na zakończenie słuchamy jego starych, znanych setkom wielbicieli, liryków — „wśród nich ulubionych strof poety: Niech umrę, niech za rokiem płynię rok, Niech się na zawsze zamieni w lotny proch. Dziewczyna bosa pójdzie poprzez pola. Ja ocknę się i z prochna swego wstanę, Gorącym pyłem nogi jej okolę. W rumiankach unurzane po kolana.

(Przełożył Tymoteusza Kar-powicza).

I kiedy powoli przechodzi wśród okłasków syniactwa jak śnieg, miękko i serdecznie, myślę, że sam najlepiej określił swą twórczość mówiąc, że nie wierz w wiersze pisane dla wieczności, natomiast wierzy w strofy, bez których ludzie nie mogą żyć dzisiaj.

Z. GROSBART-ROMANOWSKI

EUGENIUSZ JEWTUSZENKO

Oto przybyłem do miasta,
Gdzie krąży Gumista.
Taka lekka i czysta
I zimna, zimna ma usta.
Co zostawiłem,
Gumista,
Tam, przy tym moście,
za mostem?

Rozpacz została.
Tak prosta...
Rozpacz została za mostem.
Niewinna dusza ma —

Ach, pomóż, pomóż, Gumista!

FRIDON CHAŁWASZI

JA I DRZEWO

— Dziękuję ci, drzewo.
— Za co?
— Dziękuję ci, drzewo.
Korzeniami wypijasz chłody źródeł.
Ja też zamieszkam w ziemi
I zapłodnię ziemię.
Ja wiem, że z ziemi nigdy już nie wstanę.
Dziękuję tobie drzewo za pień
I za korzenie,
Za szelest twych gałęzi,
Za cień i za owoce.
Tyś nauczył mnie
Na ziemi
W czas burzy stać i stoje.
I moje kroki.
I mogę odpoczywać w twoim cieniu.
Przez liście widzę
Nadłamanie niebo.
Jesteś jak oś mej ziemi:
A wszystkie drzewa,
Wszystkie,

Dalekie
I bliskie
Kręcą się wokół ciebie.

Dziękuję...
Tyś płośnie, by oddać mi swe ciepło.
To z twojego żebra
Zrobiono mi kołyskę,
A część na stare lata mi zostanie.
Oparta o twój pień plecami
Matka karmiła mnie...

Tyś oprzeć się na sobie pozwolił
I powierzyło mi swój szelest.
Dziękuję, drzewo.
— Za co?
— Dziękuję, drzewo!

OJAR WACJETIS

BŁOGOSŁAWIENSTWO

Synu, to ja —
Twoja planeta.

Nie wiem
Czy dotknę ciebie
Fale moich stacji.
Nie wiem
Czy wytrzyma
Metal moich rakiet.
Ale ty —
Ty wytrzymasz.
Jesteś moim synem
I nie wierzyć tobie —
Znaczy:
Nie szanować
Siwizny swoich gór
I obłoków.

Gdy wyjeżdżają pociągi — to nie boli.
Gdy wypływają okręty — to nie boli.
Ale w chwili startu
Poczujesz ból rozłąki!

Jestem matką —
Dlatego nie mogę
Oderwać
Swoich rąk.
Miłość moja wciągnie ciebie
W dno rakiet
A ręce moje obejmą
Tak mocno,
Jak mocno kocham.

Nie słuchaj, gdy powiem:
— Zostań!
Słuchaj, gdy powiem:
— Wróć!
Z pyłem gwiazdowym
Na zmęczonych nogach
— Wróć!
Z płomieniem gwiazd w oczach
— Wróć!
Z trwogą gwiazdą we krwi
— Wróć!

Brzegami moich rzek
Przebiegną drogi.
I spadną moje deszcze.

Jak włosy ukochanej
Będą pachniały moje bzy
Z resztkami burzy.

Synu, to ja —
Twoja planeta.
Weź na drogę do gwiazd
Kawałek mojego chleba
I mnie weź w dłoń.

Przełożył ROMAN GORZELSKI

Sedno rzeczy
MARIAN PIECHAL

RÓWNIEJSI WŚRÓD RÓWNYCH

Żyjemy w ustroju demokratycznym, ale mało kto zastanawia się, co to jest demokracja. A gdyby jeszcze dodać pytanie, co to jest demokracja ludowa — odpowiedź byłoby chyba tyle, ile odpowiedziących. Już z samego określenia „ludowa” wynika, że demokracja mogłaby być i w praktyce różna. Wszak na Zachodzie wszystkie najbardziej nawet zachowawcze i wsteczne orientacje polityczne głoszą hasła idei demokratycznych — ba! — pierwszy lord admirał JKM w Anglii czy książę Monako obrazili się nie na żarty, gdyby im odmówić tytułu szczytnych demokratów. Widzimy więc, że w praktyce istnieje nawet tak dziwaczne zjawisko, jak pojęcie demokracji monarchicznej. Jest to — jakby powiedział uczony logik — *contradictio in adiecto* czyli dosłownie „sprzeczność w przymiotniku” albo najtrafniej „sprzeczność sama w sobie”.

Należy więc powrócić do właściwego czyli niesprzecznego pojęcia demokracji. Jest ono pochodzenia greckiego i składa się ze słowa *demos* czyli lud i dodatku słowotwórczego *kracia*, co w połączeniu oznacza władztwo ludu albo dosłownie ludowładztwo. Lu-

dowość pojęcia demokracji wynika więc z samej jego istoty i zakłada istnienie ustroju opartego wyłącznie na władztwie ludu. Wszelkie inne pojęcia demokracji są pojęciami fałszywymi. Dlatego wyrażenie „demokracja ludowa” jest właściwie pleonazmem czyli „masłem maślanym”, powstałym jednak z koniecznej potrzeby sprzeciwu wobec fałszowania istot-

o fałszywe pojęcie demokracji.

Mówi się, na przykład, że demokracja to równość — wzajemna równość wszystkich wobec siebie. No pięknie, ale jak tę równość rozumieć? Równość wobec prawa, równość wobec obowiązków. W ogóle, to tak być powinno, ale w szczególności czy tak jest i czy tak może być? Każdy ma prawo napisać i wydać, na przykład książkę, ale czy ma obowiązek? Nie. Nie ma obowiązku. Obowiązek ma tylko ten, kto ma talent, a więc nie każdy. I oto pierwszy dylemat! W dobru czyli w sensowności pojętej demokracji każdy ma prawo wydać książkę, ale nie każdy ma obowiązek korzystać z tego prawa — to obowiązują tylko tego, kto ma talent. A ponieważ nie wszyscy mają talent, nie wszystkich też obowiązuje korzystanie z prawa wydawania własnych książek. Stąd w każdej sensownej pojętej demokracji nierówność obowiązków i praw w zależności od osobistych kwalifikacji. Równość w demokracji stosować można jedynie racjonalnie, a nie dosłownie.

Pewien mój znajomy sportowiec określił to tak: demokracja to równość wobec startu, ale nigdy wobec finiszu. Na finiszu okazuje się, że sportowiec sportowcowi nierówny i jeden osiągnął lepsze wyniki, niż drugi, chociaż obaj mieli te same warunki i te same możliwości. Chcieć nie doceniać ich osobistych różnic i nie wyróżniać jednego nad drugiego byłoby to wychodzić z fałszywie pojmowanej istoty demokracji.

A tak się — niestety — w naszym życiu społecznym często praktykuje. Nie mówię, że to zasada, mówię o przykrych wypadkach. Kto

się wysuwa swymi zdolnościami, pracowitością lub innymi zaletami ponad przeciętny poziom ogółu, tego kłonicą w łeb, bo przeczy zasadzie równości. A równość to przecież nie przeciętność. Ludzie z natury nie

są sobie równi. Demokracja nie może być stosowana w sposób prostacki i mechaniczny. Automatyczny *Gleichschaltung* obcy jest naturze prawdziwej demokracji. Jedni są zdolni, inni nie, jedni są wysocy, inni nie i zrównać ich można tylko wobec poziomu ziemi, na której stoją, czyli pod względem dem stop, ale nigdy pod względem głów, których poziomy i zawartości są różne.

Ludzie nie z natury, lecz z prawa są sobie równi. Będąc jednak równi z prawa, nie są jednak równi wobec obowiązków i zasług. Im kto zdolniejszy czyli bardziej obdarzony przez naturę, tym większe ma obowiązki i tym większe zasługi, a więc i większe znaczenie oraz



wpływ w społeczeństwie. To są ci równiejsi wśród równych — jak powiedział pewien zmarły już pisarz angielski. Oni są wyrazem awansu społecznego, bez którego nie może być prawidłowo funkcjonującej demokracji. Zwalazcza demokracji ludowej, której zadaniem jest nie tylko samo równanie od dołu, ale i podciąganie wyżej wszystkich w miarę naturalnych możliwości każdego.

WYDŁUBANE OCZY LALKI

Dalszy ciąg ze str. 2

bajka. Pierwsze strony podarte, poplamione, nie dziwne, do wiadra ze śmieciami różne rzeczy się pakuje, i starą herbatę wysypuje z czajnika, i obierzyny, więc ten zeszyt zamókł. Jeżeli moją lalkę bolało, kiedy jej wydłubywałam oczy, to mnie wtedy też bolało. Moje oczy były żywe, proszę pani.

Opowiem pani jeszcze jedną historię, proszę posłuchać, to się stało bardzo niedawno, w tym roku, na wakacjach. Mój dziadek umarł. On nie mieszkiał z nami, tylko na Mazurach. W takim małym miasteczku za Olsztynem, całą noc się jeździło. Bardzo lubię jeździć pociągami — to przyjemnie: trochę śmiesznie, że rano się jest jeszcze tu, a wieczorem — w tym punkcie, który się wybrało na mapie. Jest też trochę smutno, bo wszystko za oknem ucieka. W tym roku, pojechałam jak zawsze, na pierwszy miesiąc do dziadka, na drugi na kolonie. Mama z bratem

i z ojcem jeździ nad morze, lecz tam jest drogo, to ja jeżdżę na kolonie i do dziadka. Oczywiście, nie całkiem do dziadka, ale ja babcię nie za bardzo lubię, bo ona głośno mówi, i krzyczy o byle co. Dziadek już chorował, jak przyjechałam. Od dziewięciu miesięcy leżał sparaliżowany. Babcią się martwiła, że on może tak leżeć latami, bo jemu prawą stronę sparaliżowało. Jakby lewą — to szybciej, bo do serca dochodzi i po wszystkim. Dziadek leżał nie ruchomy, szkielet już, a głowę miał taką jak na obrazku. Bo nad jego łóżkiem wisiał obraz, którego zawsze się bałam. To był święty obraz, ale zupełnie różny od wszystkich świętych obrazów, jakie się widzi. Czarno-biały, jak fotografia i była na nim twarz. Taka pociągła, chuda, z zapadłymi policzkami, jakby po głodowaniu. Kiedy czytałam „Stara baśń” i doszłam do miejsca, jak oni umierają z głodu w tej wieży, to przypomniała mi się tamta twarz z obrazka nad łóżkiem dziadka. Były w niej przymknięte oczy, a powieki jak żyłasta ręka, spod korony

cierniowej na czole skapywały czarne krople. Dziadek tak wyglądał. Mój dziadek był bardzo dobry. Wszystko mu pisałam w listach o sobie. Znalazłam później te swoje listy starannie obwiązane nylonową żyłką w jego szufladzie. A on mi pisał: „Moja kochana wnuczko”. Jak przyjechałam, to podeszłam do łóżka i powiedziałam: „Dziadek, to ja twoja kochana wnuczka”. A on zamrugał powiekami, na znak, że rozumie. I otworzył na chwilę oczy, ale zaraz powieki mu opadły. Musiały być bardzo ciężkie.

To w nocy się stało. Ktoś mnie szarpie za ramię. Od razu wiedziałam, dlaczego. — Chodź pożegnać się z dziadkiem. — Wszyscy się zbiegli do jego pokoju. Leżał też był. Składał strzykawki, Babcią świecę zapaliła, głośno litanię zaczęła odmawiać. Wszyscy poklekali. Nie zapomnę tego — przy łóżku paliła się tylko mała lampka, oświetlała twarz na ścianie i twarz na poduszce, a tu, od świecy, która się chybotwała w rękach babki, wszyscy podostawali jakieś potworne garby, i tak

kłęczeli wokół tych twarzy — bladzi, z czarnymi garbami, podrygującymi na ścianie. Babka odmawiała nowennę, a garby jękiłwie powtarzały. Proszę pani i ta głowa na poduszce! On otworzył oczy, on wszystko widział!

Podczas pogrzebu deszcz padał. Książę odmówił modlitwę, wyszarpał się z komi, otworzył parasol i przeskakując kałuże balansował między grobami. Potem i my, rodzina, wróciliśmy do domu. Babka po drodze ciastka kupiła w cukierni. W pokoju po dziadku otworzono okna, wietrzono, zmieniono pościel. Babka tymczasem herbatę przyszykowała, stół nakryła. I wtedy, już przy tym stole, bo ciągle miałam zaciśnięte gardło, i odepchnęłam jedzenie — babka powiedziała — no, jedź, jedź, nie udawaj, na pogrzebie ani razu nie zapłakałaś, to i apetyt mieć musisz.

A ona, chociaż całą drogę prawie wyla, jadła solidną porcję zimnych nóżek z octem, a na deser trzy ciastka; ptysie, bo takie lubiła najbardziej.

No i tak. Dlatego pewnie powiedziałam na początku naszej rozmowy, że dorosli mało wiedzą o swoich dzieciach.

EWA OSTROWSKA

odgłosu str. 7

CONDENSED MILK

Andy's mother made it a rule that if he came to dinner table late he was not to speak a single word during the meal.

Yesterday he came, as usual, after everybody had set down. As soon as he entered the room he began with:

— I say, mother...

But his mother quickly reminded him of the rule.

— But, mother...

— Not a word!

When dinner was over, his mother asked what he wanted to say.

— Oh, I only wanted to say, that baby was filling father's socks with condensed milk.



DER TEE

nach Heinrich Heine

Ich will jetzt eine Geschichte erzählen. Es ist keine Politik darin sondern nur Philosophie, oder besser philosophische Moral.

Es ist wirklich sehr politisch von dir, wenn du von Politik nichts wissen willst. Meine Freunde haben mich nicht gern, weil ich die letzten Jahre nur von Politik spreche und sogar politische Bücher schreibe. Meine Freunde sagen:

— Wir lesen deine Bücher nicht, aber es ist nicht schön im Lande der Philosophie und der Poesie politische Bücher zu schreiben. Willst du nicht mit uns träumen, so wecke uns wenigstens nicht aus dem süßen Schlaf. Lass du die Politik, verschwende nicht daran deine schöne Zeit. Benutze dein schönes Talent für Liebeslieder, Tragödien, Novellen. Darin sollst du uns eine gute philosophische Moral geben.

Gut, ich will keine politische Geschichte jetzt erzählen, aber ist es meine Schuld, dass ich einen guten Geschmack habe, und dass guter Tee mir gut schmeckt? Ich liebe immer meinen Hauswirt in den Bädern von Lucca, weil er mir so guten Tee gab, wie ich ihn noch nie getrunken.

Lady Woolfen wohnte mit mir in demselben Haus. Sie konnte von dem Hauswirt keinen guten Tee bekommen. Der Hauswirt machte alles, was er nur konnte, aber diese Dame war mit dem Tee nicht zufrieden. Sie kaufte ihren Tee per Post aus Livorno.

Sie lächelte göttlich und sagte:

— Der Tee ist aber himmlisch.

sang on the trees. She was happy because she hoped to see her uncle and aunt very soon.

— Turn around on your left foot three times and say aloud „I want to get back to Kansas“, — said a strange voice.

— Who are you? Where are you? — asked Mary but nobody answered.

Mary took Bobby in her arms, turned around on her left foot three times and said:

— I want to get back to Kansas.



— Where am I? — said Mary. — Oh, this must be Uncle Henry's new farm house.

Aunt Jane was at the door of the house.

— My darling, — she cried and took the girl in her arms. — I'm so glad to be at home again.

hören. Sie wollte auch nichts mehr geben, aber schliesslich gab sie, was der Meister verlangte.

Der Meister brachte das Brot in die Werkstatt und gab es dem Schusterjungen. Der Meister fragte:

— Bist du immer noch blind?

Der Lehrling schaute auf das Brot, dann auf den Meister und sagte:

— Nein, Meister, ich kann wieder sehr gut sehen, viel besser als durch eine Brille.

AUF DER BÜHNE

In einem Theatersstück tritt eine sehr grosse Elefantenfigur auf. In den Beinen der Elefantenfigur stehen vier Statisten.

Der Statist in dem hinteren linken Elefantenbein sagt:

— Du, Lehmann, steh doch ruhig, sonst wird die ganze Elefantenfigur umfallen.

Der Statist im hinteren rechten Bein antwortet:

— Ich darf nicht ruhig stehen. Ich muss mich bewegen.

— Warum? — fragt der erste Statist.

Lehmann antwortet:

— Meine Braut sitzt in der Galerie. Sie soll sehen, wie ich spiele.

TADEUSZ PAPIER

M

gdalena

o rannej godzinie

Więc wysiadłam w Kuluskach i nie wiedziałam, co dalej robić. Wskoczyłam do następnego wagonu i jechałam do Warszawy, czy też czekać na następny pociąg. Ale mnie taki wstręt ogarnął do tej baby, że pozostałam na peronie. Pociąg ruszył, z okna przedziału, z którego wysiadłam, wychyliło się z dziesięć głów, poznałam przecież facjatę owej cioty, rany, jak mnie szukała wśród ludzi na peronie, i tego palanta. Ale mieli sensację, gadali o mnie chyba do samej Warszawy. Ostatni wagon zniknął mi z oczu i zrobiło mi się lżej na duszy. Usiadłam na ławce, ludzie się porozchodzili po stacji, a pociąg przejeżdżał w tę i tamtą stronę. Ogromnie lubię stacje kolejowe i pociągi. Mówię panu, gdyby to tylko ode mnie zależało, codziennie wyjeżdżałabym w świat, wszystko

jedno dokąd. Albo chodziłabym na stację i po prostu patrzyła. Bardzo lubię patrzeć na pociągi, zwłaszcza na te, które odjeżdżają. Czło wiekowi wówczas różne myśli przychodzi do głowy. Przyjemne i nieprzyjemne, ale najczęściej to mi się wtedy chce płakać. Więc ja sobie tak siedziałam na ławce, słońce przygrzewało, pociąg przyjeżdżał i odjeżdżał, myślałam o ciocie, nie mogłam o niej nie myśleć, jeśli pan sądzi, że bawiąc się tej nocy u Tośka zapomniałam o ciocie, to się pan myli. Ani na sekundę nie zapomniałam. Wyobrażałam ją sobie wciąż w tej samej pozycji, jak stoi na środku pokoju i pyta się Marioli, dlaczego nie wróciła do domu, przecież powinna być już dawno wrócić. Mariola ją pewnie uspokajała, ale w końcu i ona straciła nadzieję i zaczęła dzwonić po znajomych, do Tośka też trafiła. Co też sobie mówiły, kiedy okaza-

ło się, że mnie nigdzie nie ma, bo przecież do Łski chyba najpierw zadzwoniły. Ciotka chyba się rozbeczała, tak sobie wyobrażałam, Kos tek zresztą to potwierdził, mówiąc że ciotka wariuje, aż mi tży podeszły do oczu tak się wzruszyłam. Niech pan sam powie, co za głupia wariatka ze mnie.

Ale narobiłam zamieszania, lepszego niż w pociągu. Mariola postawiła komisariat na nogi. Kostek tak mówił, Globusa też wmie szalałam w tę hecę, nie chcę o tym mówić. Cała ta awantura nabrała teraz w moich oczach jakby innego wymiaru. Nie wiem, czy będę umiała to panu wytłumaczyć. Czy pan sobie przypomina śmierć Taty i jego pożretek? Ten emmentar, i tę wodę w grobie, okropna historia. No, więc chyba coś podobnego przeżywałam teraz. Powiem jaśniej. Kiedy Tata żył, nie myślałam o nim za dobrze, pan wie, że nie miałyśmy z Mariolą wiel-

kiego nabożeństwa do Taty, kantowałyśmy go jak mogły, ale na pogrzebie jakbyśmy go zobaczyły w innym świetle. Może mi pan wytłumaczy, dlaczego tak było? Więc dobrze. Chciałam tylko wyjaśnić, jak mi się na tym dworcu w Kuluszkach przedstawiała ciotka, Mariola, Globus, nawet o tym zwariowanym Kostku pomyślałam bez niechęci. W ogóle to wszystko lipa i miałby pan rację, gdyby mi pan nawymyślił od mała i kretynek. Ale słowo daję, tak myślałam.

Musiałam mieć bardzo niewyraźną minę, wyobrażam sobie zresztą jaką, okropnie brzydą, gdy się czym martwię, bo podszedł do mnie milicjant z jednym sokowcem. Milicjant dotknął mojego ramienia i zapytał: „Słabo pani? Może pomóc? Dokąd pani jedzie?” Rozeszmiałam się, mimo że jeszcze miałam tży w oczach, tak się wzruszyłam ciotka, ale się roześmiałam, bo to był chyba pierwszy milicjant w moim życiu, którego się nie bałam. Jeśli pan sobie przypomni, co wypra-

wiałam dawniej na sam widok milicjanta, to pan zrozumie mój śmiech. Sama nie wiem, dlaczego się teraz nie bałam. Może się otrzaskałam z nimi? Nie wiem. Więc mimo, że głowę miałam zajęta nie bardzo wesołymi sprawami, wyszczerzyłam do niego wszystkie zęby. „Niech pan się nie troszczy o mnie, sama sobie poradzę” — powiedziałam. Ale milicjant nie chciał tak łatwo ustąpić. Może mnie widział, jak wylatywałam z pociągu i jak tamci z przedziału rozglądali się za mną? Nie będę się darmo rozwodzić. Fakt, że wydałam mu się podejrzaną. No, musiał mieć praktykę w tych sprawach. Pan twierdzi, że chciał sobie tylko porozmawiać? Chyba nie. Ten sokowiec poszedł sobie dalej, a milicjant usiadł obok mnie. „Niech no pani powie prawdę, ja i tak wszystkiego dojdę” — powiedział. „Czy do pana obowiązki należy zaczepianie młodych dziewcząt? — zapytałam. „Dlaczego nie? Jeśli ta młoda ma co na sumieniu?” „Powinnam się o-

brazic” — odparłam. „Nie do pani piję — powiedział. — Pani zapytała, więc odpowiadam”. To dlaczego się pan przycepił?” „Powtarzam, zdawało mi się, że pani potrzebuje pomocy” — powiedział. „Dziękuję, obejdzie się” — odparłam sucho. Wie pan, co ten wariat uczynił? Myślałam, że zasłutuje i odejdzie, a on najbezczelniej zdjął czapkę, położył ją obok na ławce, odpiął nawet kołnierzyk od koszuli. Wyglądało to tak, jakby miał zamiar zabrać się do dłuższej pogawiedki. Kiedy indziej nie miałabym nie przeciwko temu, bo facet był na medal. Ale teraz zaczął mnie już drażnić. „Wie pani co? — powiedział — Nie śmiałyśmy się, gdyby pani miała rzeczywście co na sumieniu.” „Na przykład co?” — zapytałam ostro. „Chociażby bilet — powiedział. — Na przykład, gdyby pani nie miała biletu. Widziałam, jak pani wybiegała szybko z pociągu. Jakby pani wiała przed konduktora-

Dalszy ciąg na str. 10



RIDDLES

The animal that has a pouch in which she carries her babies is a

The animal who can go without food and water for a long time is a

- zebra
- camel
- elephant
- giraffe
- rhinoceros
- hippopotamus
- canoe
- kangaroo

The animal that has a horn on its nose is a



THE CYCLONE

(3)

The little men and the woman looked at Mary.

— We don't know where Kansas is, — said one of the men.

— We can't help you to go back to your prairie.

— He is right, my dear, you will have to stay with us, — said the kind old woman.

At these words Mary began to cry. She could not be happy in that beautiful country without her uncle and aunt. The strange people looked at her and began to cry too. Then the little old woman said:

— What is your name, dear child?

— My name is Mary, — said the girl.

— Listen to me, Mary, — said the old woman. — Take these shoes, my dear, — and she gave Mary the silver shoes of the witch. The old woman said:

— There is some magic in them. I hope that it will help you.

Mary took the shoes and put them on.

— Well, Mary, now I must leave you, — said the kind woman. — I hope that you will find your uncle and your aunt. Good-bye, my dear.

The old woman kissed Mary, turned around on her left foot three times, and disappeared at once. The three old men also said good-bye to Mary and walked away through the trees.

— Come along, Bobby. We shall go back to Kansas again. They started at once. The day was warm and the birds

DER BLINDE SCHUSTERJUNGE

nach G. Keller

Er war in der Werkstatt eines alten Schuhmachermeisters. Der Meister und seine Lehrlinge arbeiteten sehr fleissig vom frühen Morgen bis zum späten Abend.

Gegen zehn Uhr öffnete sich die Tür der Werkstatt und die Frau Meisterin trat herein. Sie brachte das Frühstück für den Meister und seine Lehrlinge.

Sie machten eine Pause und frühstückten. Plötzlich begann ein Lehrling laut zu weinen. Der Meister war sehr erstaunt und fragte:

— Warum weinst du, mein Junge?

Der Lehrling weinte noch lauter und rief:

— Ach, Meister, ich sehe nichts. Ich bin blind geworden.

Der Meister sprang erschrocken auf und fragte den Lehrling:

— Was? Um Gottes willen. Bist du wirklich blind geworden?

Der Lehrling antwortete:

— Ja, Meister, ich sehe keine Butter auf dem Brot.

Der Meister lächelte, nahm das Butterbrot und ging in die Küche. Er sagte zu der Meisterin:

— Meine liebe Frau, das geht nicht. Wir arbeiten vom frühen Morgen bis zum späten Abend und du hast zu wenig Butter auf das Brot gestrichen. Jetzt schneide schnell ein Stück Käse ab und lege es auf das Brot.

Die Meisterin war nicht zufrieden. Sie wollte nichts

Dalszy ciąg ze str. 9

rem. No?" „Mam bilet“ — powiedziałam. „A dokąd pani jedzie?“ — zapytał. „Z pana jest niemożliwy gość“ — odpierałam. — Naprawdę niemożliwy? „Wiem o tym. Więc nie powie pani, dokąd pani jedzie?“ „Jeśli pan chce wiedzieć koniecznie, to powiem — rzekłam z złością, byłam już wściekła na niego. — Uciekłam z domu — powiedziałam — Umówiłam się tu z moim ukochanym. Czekam na niego.“

Rany, jak się śmiały ze mnie. Aż ludzie zaczęli się na nas oglądać. „Nie, pani jest wspaniałą babką. Jeszcze takiej nie spotkałem. Co-fam wszystko, co przedtem powiedziałam. Więc jak to pani powiedziała? Uciekła pani z domu? Wspaniale.“ „Cóż pana tak rozweseliło?“ — zapytałam. — Pan ma szczególną zdolność do o-brażania dziewcząt“. Ale ten pajac zaczął się śmiać jesz-cze głośniejsze. „Nie — mówił — ale fantastyczna historia. Więc jakże to było z tą u-cieczką?“ Nie potrzebowa-łam dużo zmyślać, aby opo-wiedzieć mu interesującą rzecz o sobie. Wie pan! U mnie o to niedługo. Trochę poprzestawiałam chrono-logię, z ciotki zrobiłam złą me-glerę, która mnie sierotę prześladowała, a z Mariolą za-drosną koleżankę, która od-bija mi Kostka. „A dlaczego pani zwiłała z pociągu?“ — zapytał się, rzecz jasna, pytał dla draki, bo nie wle-rzył ani jednemu mojemu słowu i wszystko, co mówi-łam, bardzo mu się podoba-ło. Co chwile przerywał mi okrzykami: „Wspaniale! Fe nomenalnie! Niech pani mó-wi dalej! Co za babka!“ I w tym rodzaju. „Dlaczego

uciekłam? — odpierałam. — Bo miałam pecha, trafiłam na znajomą ciotkę.“ „Wspa-niale!“ — krzyknął. Więc plotłam dalej bez zająknię-nia o tej mojej nieszczęśliwej miłości. „I ten ukocha-ny Kostek mu na imię?“ „Tak.“ „Więc ten ukocha-ny ma się tu zjawić? Moż-na zaczekać na niego? Nie pogniewa się, że mnie zas-tanie z panią?“ „Proszę bar-dzo“ — powiedziałam. „A pan? — zapytałam. „Co ja?“ — zdziwił się. „Pan ma żonę, dziewczynę?“ „Milicjant przy-głądał mi się z uśmiechem, ale był nieco zaskoczony moim pytaniem. „No, wie pani! Dlaczego pani pyta o to?“ „Chcę wiedzieć“ — od-pierałam. „Więc powiem pani. Mam dziewczynę. Pracuje w Łodzi. Właśnie spodzie-wam się jej. Myślę, że po-winna przyjechać najbliż-szym pociągłem. Bardzo fajna babka.“ „Tak przy-puszczalam“ — odpierałam. „Tak, bardzo fajna dziew-czyna“ — powiedział.

„A ona co powie, gdy nas zobaczy razem?“ — zapyta-łam. „Wie pani! — krzyknął i zaczął się śmiać — Nie doceniałam pani. Pani po-winna pracować w milicji. Naprawdę.“

Ale to jeszcze nie wszyst-ko. Przyszła mi fantazja, aby zakpić z tego milicjan-ta. Znadto był pewny sie-bie. Nie mogłam znieść tej jego pewności. „Wie pan — powiedziałam do niego — ale pan, to ma dobrego no-sa.“ „No?“ — zainteresował się. „Bo pan powiedział, że mam coś na sumieniu.“ „Po-wiedziałem“ — odparł. „No więc pan zgadł.“ „Nie! — wykrzyknął — Coś podob-nego! Pani jest naprawdę wspaniała.“ „Ale ja mówię prawdę. Chce pan dowo-dów?“ „Ależ wierzę. Po raz pierwszy spotykam taką

dziewczynę, która się sama przyznaje. Słowo daję. Cóż tedy pani nagrzęszyla?“ „Bardzo jestem ciekawy.“ „Więc dobrze, opowiem pa-nu“ — odpierałam.

Pan się domyślił, jaką to opowieść mogłam mu przed-stawić. No tak. Raz tylko się wygłupiłam przed tym szoferem, kiedy odwoziłam pijanego Kostka. Nie wiem, co mnie wtedy skusiło. Cho-ciaż przyznam się, że nie żałowałam i nie żałuję tej spowiedzi. Więc i temu mi-licjantowi wymyśliłam na po-czekaniu historię, z której można by się albo śmiać, albo płakać. Powiedziałam, że do niedawna byłam w jednej pacie, która dużo na-rozrabiała. Kioski, sklepy i tak dalej. Pan rozumie, że moja opowieść toczyła się

gładko. Fabuły, jak to pan nazywa, miałam pod dostat-kiem. Nie potrzebowałam jej wymyślać. Nie zapom-niałam jeszcze o naszych wyczynach, i o Długim i o Borucie. Ale nie opowia-dałam wiernie, jak temu szoferowi. Wyszło w końcu na to, że tą pacą to ja kie-rowałam. „Co pani powie!“ — wykrzyknął milicjant z udanym zdumieniem. — I co? Nie zlapali was?“ „Jeś-li pana to ciekawi, to zlapa-li!“ „I co?“ — zapytał — Ja-ki wynik? Ile pani synpeli?“ „Nie — odpowiedziałam — Miałam wiernych kumpli. W ogień by za mnie po-szli. Zresztą przysięgali.“ „Jak to, przysięgali?“ — za-pytał. Więc opowiedziałam mu scenę przysięgi, ale w moim wydaniu ta przysię-

ga inaczej wyglądała niż kiedyś nasza. Przede wszyst-kiem to ja odbierałam od chłopaków przysięgę, ja nacinałam im skórę mie-czykiem, no wie pan, stwo-rzyłam cały film, że lep-szego nie trzeba. „I chłopa-ki na sądzie nie zdradzili — powiedziałam — Więc wy-szłam cała“. „Fantastyczne!“ — zawołał — wprost nie chce się wierzyć.“ „Właśnie — powiedziałam — Czasami to i ja nie mogę w to uwie-ryzyć.“ „No i co? Koledzy siedzą?“ — zapytał. „Siedzą“ — odpierałam. „Nie żałuje ich pani?“ „To moja sprawa“ — powiedziałam. „Przepra-szam, ja tylko z ciekawości się pytam. Bo to, wie pani, rzadko się zdarza takie po-swięcie, tacy wierni ry-cerze. Bardzo rzadko.“ Po-

wiedział to z tak szcze-gólnym błyskiem w oczach, że spojrzałam na niego po-dejrzliwie. „A ten Kostek został wcześniej zwolniony?“ — zapytał. „Tak.“ „Więc te-raz rozumiem, dlaczego pa-ni ciotka tak nie lubi i prze-gania Kostka.“ „Jasne. Ale my się kochamy“ — blago-wałam w dalszym ciągu. „Niech panią gęś kopnie! — zawołał — Fantazje to pani ma. Aż mi się wierzyć nie chce.“ „Co pan znowu?“ — zapytałam. „Podziwiałam pa-nią — odparł beczelnie — Bardzo się przyjemnie z pa-nią gada.“

Przedtem bym się spodzie-wała gromu z jasnego nie-ba niż tego, co teraz nastą-piło. Nagle zobaczyłam przed sobą Mariolę, aż rę-ce podniosłam do góry z wrażeń, za Mariolą stał Kostek, tego jeszcze tutaj brakowało! To już przecho-dziło wszelkie wyobrażenia. Ten milicjant wstał, uklonił się Marioli i pocałował ją w rękę. Czysta opera! „Pa-ni pozwól — powiedział do mnie. — To ta dziewczyna, którą oczekiwaliśmy.“ Bez-czelny typ, mógł sobie da-rować to przedstawienie. Ale mnie urządził, jeśli o czym myślałam w tej chwi-li, to chyba o tym, jakby się zapaść pod ziemię. Jak mogłam się wcześniej nie domyśleć, że ten milicjant gra teatr. Ale jakim cudem Mariola aż tutaj mnie zna-la? Na razie na to py-tanie nie znajdowałam od-powiedzi. Ale żeby pan wi-dział, jak się zachowywała Mariola. „Z przyjemnością wytrząskalabym cię po pys-ku“ — powiedziała do mnie. „Bij, jeśli ci to sprawia przyjemność — krzyczałam — no, bij, na co czekasz — wołałam, aż ludzie zaczęli na nas zwracać uwagę.

D. c. n.



O ZUPEŁNIE POCZĄTKUJĄCYCH —TALENTACH

Program nosił oficjalny podtytuł: „konkursowa estrada wokalnno-muzyczna dla młodzieży”, a według zapewnień konferansjera, był pierwszym z tego cyklu (30 X). Czekając więc nas jeszcze osiem podobnych „Dziewięciu najlepszych”. Nie jest to najprzyjemniejsza perspektywa. Ostatnimi czasy do zastraszających rozmiarów rozrasta się moda na młode (zbyt młode), niedouczone (zbyt niedouczone), tak zwane talenty. W pierwszych dziewięciu „najlepszych” pokazano nam młodych panów i młode panie w wieku szkolnym, usiłujących śpiewać. Już nie tyle przeraża sam śpiew, ile maniera wykonawców. Zblazowani, cierpiętniczo wykrzywni jednorazowi gwiazdorzcy (z szansami na przyszłość bo estrada — konkursowa), naśladowali bez szczególnego powodzenia różnych sławnych i znanych piosenkarzy. A ponieważ w oficjalnym podtytule zaznaczono wyraźnie, że ta estrada jest dla młodzieży, więc siłą rzeczy człowiek zaczynał doszukiwać się jakiegoś dydaktyzmu i celu, którym powinna audycja służyć. Niestety, dosyć to wątpliwej maści i ten cel, i ten dydaktyzm. Bo co się na przykład stanie z ostatecznie wyłonionymi w wyniku konkursowej estrady, dziewięciu „najlepszymi”? — Engagement do telewizji, Estrady? — Poszukiwacze młodych talentów powinni zastanowić się nad odwrotną stroną medalu. Ostatnio namnożyło się o wiele za dużo tych „zupełnie początkujących”, z którymi nie wiadomo co zrobić.

O „UTWÓRKU— CZYLI PIOSENCE RADZIECKIEJ”

Lucjan Kydryński w „Muzyce łatwej, lekkiej i przyjemnej” (4 XI) lansował i gorąco polecał ładne zresztą piosenki radzieckie. Nie rozumiem tylko, dlaczego stosował aż tyle pieszczotliwych zdrobnień — i to bynajmniej nie pod adresem Ireny Santor, „pierwszej gwiazdy gwiazd, platynowo-białej Wenus”. Zdrobnienia Kydryńskiego odnosiły się do prezentowanych utworów muzyki radzieckiej. „Pioseneczka, utworek” spleszczał L. Kydryński. Czyżby w taki finezyjny sposób deklarował znakomity nasz mistrz swoją sympatię do radzieckiej muzyki rozrywkowej? Czy też nie bardzo wiedział, co o niej rzeczowego powiedzieć? Mała rzecz, a wstyd.

ZURiT — MIĘDZY MŁOTEM a KOWADŁEM

Istnieją u nas instytucje feralne, jakby spod znaku trzynastki. I wcale nie dla tego, że są gorsze od przeciętnych. Nie. Po prostu, mają już takie swoje psie szczęście i z góry wiadomo o nich, że musi się tam dziać źle, bo dobrze być nie może. Ot, uprzedzenia. Uprzedzenia przechodzą w przyzwyczajenia, i stąd krok tylko od reguły.

Z okazji przejścia telewizji na siódmy kanał, pomstowaliśmy i po cichu, i bar dzo głośno na ZURiT. Pomstowaliśmy na zapas, dużo przed czasem. Jednak na przekór ponurym przewidywaniom, ZURiT wyszedł z trudnej dla siebie przede wszystkim sytuacji całkowicie obronną ręką. Przepowiednie okazały się z gruntu bezpodstawne, co z przyjemnością pragniemy zakomunikować czytelnikom, oraz pogratulować ZURiT a klient, lub klient a ZURiT — zatracając niekiedy o paradoks.

Plan na Łódź przewidy-

wał dwadzieścia tysięcy aparatów telewizyjnych do przestrojenia. Do tej pory łodzianie zgłosili dziesięć tysięcy telewizorów, z czego — 30 proc. wymagało wymiany kanału, zaś 10 proc. — kapitalnej przeróbki aparatu. Pozostałe 60 proc. fe dynie nieskomplikowanego przestrojenia. Te dziesięć tysięcy telewizorów w ciągu trzech tygodni, to nie w kij dmuchał, i musiało wymagać od pracowników ZURiT — solidnego wysiłku.

A ZURiT działa w dosyć specyficznych warunkach. Rzadko raczej zdarza się spotkać podobną sprzeczność interesów klienta z możliwościami placówki, oferującej mu swoje usługi. Nie jest to jeszcze niemożność gombrowiczowska, lecz w każdym razie wzajemne powikłania — ZURiT a klient, lub klient a ZURiT — zatracają niekiedy o paradoks.

ZURiT, jak wszystkim dobrze wiadomo, obok napraw, prowadzi sprzedaż telewizorów. Kupujący (a tych przybywa, oto dane

dla Łodzi: do 30. IX, br., zaabonowanych aparatów — 52.150, w 1963 roku ta liczba powinna wzrosnąć o dalsze 20 tys.) ma przecież prawo wymagać od kupowanego towaru najwyższej jakości. W końcu za co płać? Tymczasem zdarza się i tak, że w nader krótkim czasie już po paru godzinach od momentu zakupu, telewizor wysiada.

Zgłoszenia napraw w okresie gwarancyjnym są bardzo duże. Jeżeli przyjmemy, że znaczna część uszkodzeń następuje na skutek nieumiejętnego obchodzenia się abonenta ze swoim aparatem to pozostanie jeszcze spora ilość uszkodzeń, wynikających z wad technicznych aparatu. Pretensje, żale, zatargi z ZURiT mnożą się, a ZURiT traci ze swej strony wiele czasu na naprawy, których przynajmniej w połowie można by uniknąć — gdyby telewizory były oddawane na rynek bez błędów produkcyjnych.

ZURiT posiada obowiązek kontroli telewizorów. Dokonuje tego metodą losową (na partię stu aparatów — 25 kontrolowanych). Jednak sprawdzenie aparatu telewizyjnego jest o tyle skomplikowane, że telewizor to nie śrubka i zajmuje dużo miejsca, więc potrzebne są magazyny lub odpowiednio zaplecza lokalowe przy punktach ZURiT, a sama kontrola wymaga długiego czasu (do czterech godzin), i przy obecnych ilościach sprzedawanych aparatów wielkiej liczby wykwalifikowanych kontrolerów.

Magazynów ani też zaplecza ZURiT nie posiada, nie tylko do kontroli, lecz także do przechowywania telewizorów. Nałogowo brakuje mu ponadto wykwalifikowanych pracowników. A telewizory rodziwej produkcji pozostawiają sporo do życzenia. Ostatnio ZURiT wysupłał swoją metodą losową 2.384 aparaty telewizyjne nie odpowiadające normie technicznej. Liczba dosyć wysoka. Nie znaczy to wcale, że wszystkie polskie telewizory są złe, ale prawdą jest, że wciąż trafiają się partie „wybrakowane”. No cóż, sklepy z przecenionymi telewizorami nikogo nie urządzają, zaś absurdem wydaje się wymagać od ZURiT stosowania systemu stałej kontroli. Zasadą jest sprzedawać towar sprawdzony pod względem jakości przez samego producenta. Który to sklep, poza ZURiT prowadzi takie kontrole? To przecież producent winien przeprowadzać dokładną selekcję wypuszczanego przez siebie towaru.

Biorąc pod uwagę, że ilość abonentów telewizyjnych wzrasta z dnia na dzień, należałoby chyba pomyśleć o jakimś sensownym uregulowaniu tego problemu. Z pożytkiem dla klienta i z pożytkiem dla feralnego ZURiT. Podobnie wygląda sprawa zakładania anten telewizyjnych. Do tej pory nie jest ona znormalizowana i nawet te nieliczne anteny założone przez ZURiT odbyły się drogą w zasadzie nielegalną. Wielekrotne interwencje ZURiT w Komisji Normalizacyjnej nie przyniosły żadnych odpowiedzi.

Najpoważniejszym zarzutem i najcięższym, wytaczanym przeciwko ZURiT jest nieuczciwość jego pracowników. Już przysłówkowa, lecz co gorzej, całkowicie uzasadniona. Wiem coś o tym z własnego do-

świadczenia. Dwa lata temu zostałem okantowany w punkcie ZURiT na ponad sto złotych. Zgłosiłem telewizor w punkcie przy ul. Północnej, gdyż zginął mi obraz. Pan z punktu zaproponował szybsze załatwienie „poza kolejką”. Zgodziłem się. Pan przyszedł, owszem i policzył za reperację... sto złotych, plus zwrot kosztów przejazdu taksówką — 30 złotych. Kiedy następnym razem, w trzy dni po „naprawie” zginął mi znowu obraz, poprosiłem na konsultację sąsiada. Ten zawołał — ależ, panie Kowalski, panu tylko wypadła z gniazodka wtyczka od anteny. — Kłamał na czym świat stoi, szukał winnego mogłem długo, bo „poza kolejką” czyli „prywatnie”.

Ale, wina była moja. Dałem się okantować. Więcej — spowodowałem okazję do okantowania. Ostatecznie, żaden wstyd nie znał się na telewizorze, ale niby dlaczego zgodziłem się potulnie, jak baranek na pro pozycję „poza kolejką”?

Przyzwyczajaliśmy się korzystać z takich nieuczciwych propozycji. Gdyby z liczby 30.000 abonentów telewizyjnych, zarejestrowanych w ostatnim półtoraroczcu, z których jedynie 400 (czterystu!) korzystało z usług ZURiT przy zakładaniu anten, pozostałych 29.600 na propozycję „poza kolejką” odpowiedziało skargą do PIH, byłoby o 29.600 mniej okantowanych i narzekających na nieuczciwość pracowników ZURiT.

Niestety, swoją pasywnością tolerujemy nieuczciwość. Sprzyjamy jej rozwojowi. Nie znaczy to wcale, że pracownicy ZURiT są bez skazy i zmyśli. Daleko im do ideału. Pomimo dyscyplinarnych konsekwencji, stosowanych przez dyrekcję ZURiT, wciąż są tacy którzy nas, nie znających się na rzeczy klientów, oszukują. Gdybyśmy jednak my, klienci, częściej interweniowali w swoim własnym przecież interesie, tych nieuczciwych byłoby siłą rzeczy — z obawy przed odpowiedzialnością karna — coraz mniej.

ZURiT dysponuje niezwykle ubogą kadrą sił wykwalifikowanych. Stwarza to dodatkowe komplikacje. Aparaty telewizyjne są coraz bardziej precyzyjne, różnicowane, a pracowników mało. Jednocześnie przybywają tysiące nowych abonentów. Nic dziwnego, że sytuacja sprzyja wszelkiego rodzaju usiłowaniom nabywania klienta w butelkę. Jeżeli w dodatku klient się posłusznie godzi... Aby jednak zlikwidować do końca wszelkie nadużycia, ZURiT wprowadza nową formę pracy — oto w najbliższym czasie rozpocznie serię spotkań z użytkownikami telewizorów. Obok wskazówek czysto technicznych: jak należy obchodzić się z aparatem, jakie naprawy można wykonywać we własnym zakresie, ZURiT pragnie zapoznać swojego użytkownika, posiadacza telewizora, z jego uprawnieniami w stosunku do pracowników ZURiT.

Ta inicjatywa zasługuje na szerokie rozpropagowanie. Dlatego dobrze byłoby, aby część takich spotkań odbyła się z udziałem telewizji. Proponuję Telewizji Łódzkiej zajęcie się sprawą spotkań i uwzględnienie ich w programie lokalnym. Zainteresowanie będzie na pewno ogromne, a i pożytek konkretny.

KOWALSKI



W TELEWIZJI WĘGERSKIEJ

Węgierska telewizja jest najmłodszą telewizją wśród państw demokracji ludowej. Studio telewizyjne w Budapeszcie powstało trzy lata temu i jest dotychczas jedyną stacją nadawczą na Węgrzech. W chwili obecnej Węgry posiadają 200.000 zarejestrowanych abonentów. Program telewizyjny nadawany jest pięć razy w tygodniu.

Poza programem własnym, nadawanym ze studia, telewizja węgierska przeprowadza dwa do trzech razy w tygodniu transmisje z teatrów budapeszteńskich. Również często pojawia się w programie film pełnometrażowy. Szczególnie poważne sukcesy osiąga telewizja węgierska w dziedzinie produkcji własnych filmów telewizyjnych, z których kilka może poszczycić się nagrodami nie tylko krajowymi, ale nawet zagranicznymi. Na zeszłorocznym festiwalu w Cannes, w kategorii filmów telewizyjnych, wyróżnienie otrzymał węgierski obraz „Ucieczka z więzienia” w reżyserii Imre Mihályfi z Evą Vass i Adamem Szirtesem w rolach głównych.

Z tego właśnie nagrodzonego w Cannes węgierskiego filmu telewizyjnego pochodzi reprodukcja tutaj fotos, na którym obok Evy Vass widzimy doskonałą aktorkę węgierską — Verę Szemere i budapeszteńskiego aktora Zoltana Greussa.



ODGŁOSY

tygodnia

JAK ZGRYZĆ TEN ORZECH?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

higieny społecznej nakazują podchodzić do tego problemu z najwyższą ostrożnością.

Docelowej, jednorodzinnej struktury mieszkań nie odpowiada, niestety, ich tzw. rozkład. Stare budownictwo kochało landary i amfilady. Nikt nie jest w stanie, że udało mu się osiem naście lat temu zamieszkać w dwu landarach amfilady, dających w sumie 80 metrów kwadratowych. Do tych skazańców trzeba więc podejść również z całą wyrozumiałością.

Pamiętając o tym wszystkim, jak również o tym, że za powierzchnię ponadnormatywną bułą niektórzy ciężką forę, nie można się z drugiej strony zgodzić, że skoro ktoś płaci, to wszystko jest w porządku. Są bowiem sytuacje, że czteroosobowa rodzina zajmuje czteropokojowy, wygodnie rozłożony apartament. W samej dzielnicy Górnej naliczyłem takich sytuacji kilkanaście. Bywają nawet i pięciopokojowe zamieszkałe przez cztery osoby apartamenty.

Tu muszę uczynić również zastrzeżenie. Jestem jak najdalej od wszelkiej „urawniłowki”. I nie wyobrażam sobie, ażeby na przykład rodzinę profesorską, gdzie on — senior — powiedział jest kardiologiem o europejskich zasługach i światowej sławie, a ona — seniorka — prócz tego, że kształci dzieci robotnicze na Akademii Medycznej zajmuje się zwalczaniem chorób społecznych w tym mieście, miała być zrównana w prawach co do komfortu mieszkaniowego np. ze sprzedawcą guzików, skupującym buteleki czy zbieraczem odpadków jak najbardziej użytkowych. Czasami, a właśnie w przypadku ludzi nauki i twórczości artystycznej lepsze niż innych warunki mieszkaniowe są z jak najbardziej społecznego punktu widzenia usprawiedliwione. Jako po prostu ich domowy warsztat pracy. Inna jest sytuacja tego, który odwali osiem godzin, a potem leży sobie do góry brzuchem i ewentualnie gapi się w telewizor, a inna tego, który intelektualnie pracuje bez przerwy w na leżnej samotności, tworząc skomplikowane układy elektroniczne i konstrukcje logiko-matematyczne czy pisze książki. Wywalam otwarte drzwi, bo sytuacje takie są nawet prawnie różnicowane i określone. Ale wywalam je, bo zdaje się, że w społecznym odczuciu nie zawsze te różnice są uważane za oczywiste i właściwie społecznie uzasadnione. Wydaje mi się, że od zacytowanej na wstępie liczby trzeba odjąć tego typu przypadki, jak również wszelkie uprzedzenia wynikające z orzeczonej komisynie przewlekłej, groźnej dla otoczenia choroby (np. gruźlica, choroby psychiczne).

Jak się dokona tego ra-

chunku, zapewne liczba mieszkań wybitnie luźno zaludnionych okaże się mimo wszystko duża. Jak duża — nikt jeszcze tego nie obliczył. I o ten bilans właśnie proszę i ponaglę.

Bo oto mamy z drugiej strony następującą sytuację. Domy studenckie w Łodzi trzeszcza w szwach. — W tym roku poupychano w nich kilkaset egzemplarzy akademickiego narybku, przekraczając wszelkie normy. Plan narodowy zakłada ogromny przyrost fachowców w najbliższym czasie. Oznacza to potrzebę ilościowego zwiększenia naboru na wyższe uczelnie. W Łodzi np. na Politechnikę, na zupełnie nowe kierunki studiów. Budowa nowych domów studenckich w żadnym wypadku za tym nie nadąży. Nie jestem przeciw ich budowie, ale zdaje mi się, że byłoby wielkim społecznym marnotrawstwem nie wykorzystać istniejących rezerw mieszkaniowych w postaci powierzchni ponadnormatywnej — właśnie na kwatery studenckie. Zrobiono już na szczęście centralnym pewien krok w tym kierunku. Niedawno czytaliśmy w prasie doniesienie o okólniku Ministra Gospodarki Komunalnej, zalecającym władzom kwaterunkowym taki studencki sposób rozwiązania problemu powierzchni, ponadnormatywnej. Przyklaskując inicjatywie Zrzeszenia Studentów Polskich i Panu Ministrowi pragnę zwrócić uwagę, że do urzeczywistnienia tego świetnego pomysłu za bieramy się, przynajmniej w Łodzi, jakoś niemrawo. Zarówno w sensie administracyjnym jak i propagandowym. W sensie administracyjnym o tyle niemrawo, że Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego nie zmieniło przepisów dotyczących tzw. bonów mieszkaniowych. Bon mieszkaniowy, bezgotówkowa część sty pendium, która student otrzymuje na opłacenie „akademika”, ale tylko „akademika”. Chodzi o to, żeby bon ten pomyśleć również jako formę zapłaty za prywatną kwatę. Dopóki student nie będzie miał zagwarantowanego tego ekwiwalentu finansowego, nie będzie chętni zapisywać się na listy kandydatów na mieszkanie prywatne.

Jeśli idzie o propagandę, to biję się we własne pierś i kolegów po piórze. Wygoda, nieskrepowanie, jakie daje szczytnym i nieszczęśliwym posiadaczom dużych mieszkań rządowo usankcjonowana szansa kwaterowania studentów jest po prostu ogółem, nieznane. Chodzi tu o takie przywileje, jak ten, że właściciel wielopokojowego mieszkania może sobie studenta (lub studentkę) z szeregu zaproponowanych mu wybrać, że jak sobie wybierze, to nie będzie musiał płacić podwyższonego czynszu, a przeciwnie on (lub ona) będzie jemu jeszcze wedle pewnej ustalonej taksy płacił. Po-

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobylński

ROZPRAWKA O METODACH

Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż nauczyć kierowników uniwersyteckich postępowania z podwładnymi. Warto, mimo to, próbować. Tym bardziej że istnieją dwie metody szkolenia w zakresie tzw. zagadnień międzyludzkich, które budzą pewne nadzieje...

Pierwsza z nich to tzw. metoda sytuacyjna. Polega ona na tym, że dorecza się kursantom wydrukowane opisy konkretnych sytuacji, które zaistniały w jakimś przedsiębiorstwie. Kursanci czytają te i następnie dyskutują na temat rozwiązania danej sytuacji. Ta właśnie metoda szkół swoich mistrzów Łódzkiej „Olimpii”. Dowiedzieliśmy się od dyrektora zakładów — M. Tomaszewskiego i kierownika działu studiów i organizacji — M. Chabrowskiego, że za pomocą przezroczy i tekstu nagranego na taśmie magnetofonowej przedstawia się im sytuację np. taka sytuacja: (podałem w skrócie) przy taśmie transporterowej zatrudniono na sa trzy zważki Rymczynę, przepływ produkcji przez poszczególne stanowiska zależy od „ednakowego wkładu pracy tych 3 kobiet. Na stanowiskach 1 i 2 pracują młode, zaprzysiężone z sobą kobiety, które często przerywały pracę, by podzielić się wrażeniami i pogadac. Na stanowisku 3 starsza niewiasta,

wdowa. Kiedy dwie „panny” gadają, „wdowa” nie ma co robić czeka bowiem na półfabrykaty, które one powinny jej dostarczyć. Idzie więc do rozmawiających, robi im wymówki — że „mają zieleń w głowie” są leniwe a ona przez to traci. Przy taśmie pracują na ogół kobiety młode. Panuje wśród nich opinia, że „wdowa” jest kłótniwa i dokucza dwóm przyjaciółkom. „Panny” zbierają pod pisy — wśród koleżanek pracujących przy taśmie, na podaniu skiegowanym do mistrza w sprawie przeniesienia „wdowy” na inne stanowisko. Zadanie mistrzów polega na rozwiązaniu podanej sytuacji, z założeniem, że oni właśnie są mistrzami zespołu, w którym dzieją się opisane rzeczy. Następnie podaje się — tak — że przy pomocy przezroczy i dźwięku, celowo przeinaczające rozwiązanie nieprawidłowe. Streszcza się ono w tym, że mistrz nie wnikałszy do głębi w sytuację „wdowy” przenosił, mianowicie na jej miejsce inną młodą pracownicę. Atmosfera w trzy osobowym zespole doszła, ale wydajność pracy zespołu leci na łeb na szyję.

Na koniec wreszcie — rozwiązanie prawidłowe. Mistrz zbadał sytuację i stwierdził, że „panny” mają dobre warunki materialne — pomagają im rodzice, „wdowa” zaś ma na

utrzymaniu dwoje dzieci. Przedstawił wszystkim pracującym przy taśmie „w czym rzecz”, pokazał zestawienie przerw w pracy „panien, a „wdowę” przenosił na stanowisko jednej z nich — co powoduje, że teraz praca „wdowy” określa szybkość pracy „panien”.

Druga metoda szkolenia — inscenizacyjna jest jeszcze bardziej „adykalna. Polega na inscenizowaniu pewnych sytuacji problemowych. Kursanci dostają napisane role, które dyktują tylko sytuację wyjściową — dalej trzeba improwizować i samemu rozstrzygać co robić. Role stawiają kursantów w sytuacji dyrektora, majstra, urzędnika, robotnika. Przy czym można je tak dobrac, aby np. kierownika postawić w sytuacji podwładnego i traktować podobnie jak on traktuje w rzeczywistości swych podwładnych. Psycholog Z. Pietrasński — w piśmie „Przeład Organizacji” twierdzi, że to właśnie jest najlepszy sposób na wykształcenie kierowników, który sam tego nie dostrzega, że w jego działaniu jest coś co ludzi odstrasza i wywołuje „złą krew”. Widocznie w myśl zasady — nie czyni drugiemu co tobie nie miło.

Oble metody bardzo nam się podobają. Tylko... jak się wyda „Olimpia” jest jednym z nielicznych zakładów, gdzie znalazły one po części zastosowanie. A szkoda. Uczą one ponadto samodzielnego analizowania problemów, krytycznej oceny własnego zdania, a odczuwają — apodyktycznego i jednostronnego rozpatrywania zagadnień. Tego rodzaju wiedzy i „niewiedzy” wielu osobom z przemysłu — brakuje.

za tym istnieją gwarancje, że jeżeli student — sublokator okaże się niezdolny, to będzie mu można mieszkanie wynajmować, albo „umowy o podnajem” na następny rok akademicki nie przedłużyć. Myślę, że jest to wprost zbawienna szansa dla tych, których meczy po nocach zmora dokwaterowania np. dzieciatego małżeństwa.

Wiele miast nieakademickich ma doświadczenie i współudział w wyrównywaniu braków naszej rodzimej bazy kwaterowej i noclegowej.

Różne Sopoty i Poznanie z tego między innymi żyją. Dlaczegoż by Łódź, miasto bądź co bądź akademickie, w którym środowisko studenckie z racji pozostawania w pewnym getcie domów akademickich jest mu bliżej nieznane, nie miało być takiego wspólnego, obywatelskiego interesu nie założyć. Jako jedno z pierwszych, skoro jest gdzie, jest z kim i jest po co. Do dzieła, obywatele. Studenci. Główni Lokatorzy i Urzędnicy Kwaterunkowi!!!

SCEPTYK

STUDENT DORASTA

Swego rodzaju anomalie a zarazem niezwykle ciekawy przedmiot obserwacji stanowią studenci — „wcześniacy”, którzy rozpoczynają naukę w wyższej uczelni, nie osiagając jeszcze wieku maturalnego, tzn. 18 lat.

Z danych statystycznych trzech największych uczelni łódzkich — Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Medycznej — wynika, że w roku 1957 wśród około 2 tysięcy słuchaczy I roku było blisko 450 „wcześniaków” w wieku 17 i mniej lat. Stanowili więc oni ponad 22 procent całej młodzieży pierwszorzecznej.

Od tego czasu daje się zauważyć stały i wyraźny spadek liczby „wcześniaków” wstępujących na uczelnie. W roku 1961 stanowili oni już zaledwie 12 procent słuchaczy I roku (ogółem 2.300, w tym 270 siedemnastolatków).

Niezwykle interesujący wynik daje prześledzenie na przestrzeni omawianego czasu orientacji „wcześniaków” — jeśli chodzi o wybór uczelni. Otóż od roku 1957 do 1961 napływ siedemnastolatków na Uniwersytet nie zmniejszył się wcale (108 w 1957 r. i 110 w 1961), na Politechnikę — zmniejszył się o połowę, zaś na Akademię Medyczną — zmalał do 30 procent.

Ten układ rzeczy się zrozumieli, skoro weźmiemy pod uwagę stopień trudności poszczególnych rodzajów studiów. Studia uniwersyteckie, pod wieloma względami łatwiejsze, wzmagały w pierwszym okresie nie tylko mniej samodzielności, ale i mniej doświadczenia życiowego, niż studia techniczne, a przede wszystkim — medyczne.

W ten sposób „wcześniacy”, jakby w krzywym zwierciadle, szczególnie wyraźnie obrazują sobą skłonności, jakim ulega cała młodzież kandydująca na wyższe uczelnie, skłonności do unikania studiów pracochłonnych, potęgający się z każdym rokiem „owczy pęd” na kierunku uniwersyteckim itd.

Nie wiemy, dlaczego spada ilość „wcześniaków”, czy nie stała do egzaminów, czy odpadają przy nich, czy wreszcie zmniejsza się liczba tego rodzaju absolwentów szkół średnich.

W każdym razie, dzięki temu średni wiek studenta się podnosi, co uważać należy za objaw pozytywny, bo starszy kandydat potrafi dokonać bardziej racjonalnego wyboru. Z drugiej strony ów „pozytywny” ma również swoje ciemne strony, bo jeśli rzeczy opóźnia otrzymanie dyplomu i wejście nowej jednostki do czynnego życia społecznego. Tym problemem zajmujemy się przy następnej okazji.

JESZCZE o „1000 TRZEŻWYCH”

W związku z naszym reportażem „1000 trzeźwych — wszystko o taksówkach” otrzymaliśmy z Wojewódzkiej Sekcji Transportu Osobowego w Łodzi pismo zwracające uwagę na fakt, że podana kwota wpływów miesięcznych taksówkarza wyliczona została za wysoko. Jak wynika bowiem z kalkulacji kosztów utrzymania samochodu załączonej do pisma, wpływy te sięgają kwoty 2.500 zł miesięcznie.

Nie jesteśmy w stanie przedkalkulować całego wyliczenia kosztów związanych z utrzymaniem wozu i jego eksploatacją — zawiera ona bowiem aż 55 pozycji, wymagających jednocześnie omówienia — pozwolimy sobie jednak zauważyć, że podana w reportażu kwota dotyczyła nowo nabytego na raty samochodu („Warszawy”), którego utrzymanie nie pociąga za sobą z pewnością wszystkich kosztów wyliczonych przez Zarząd Sekcji w nadesłanym piśmie.

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł. — kwartalnie 12 zł. — • Redakcja nie zamawia reklam, rekopisów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 11 • Zam. 3175, XI. 62, A-4